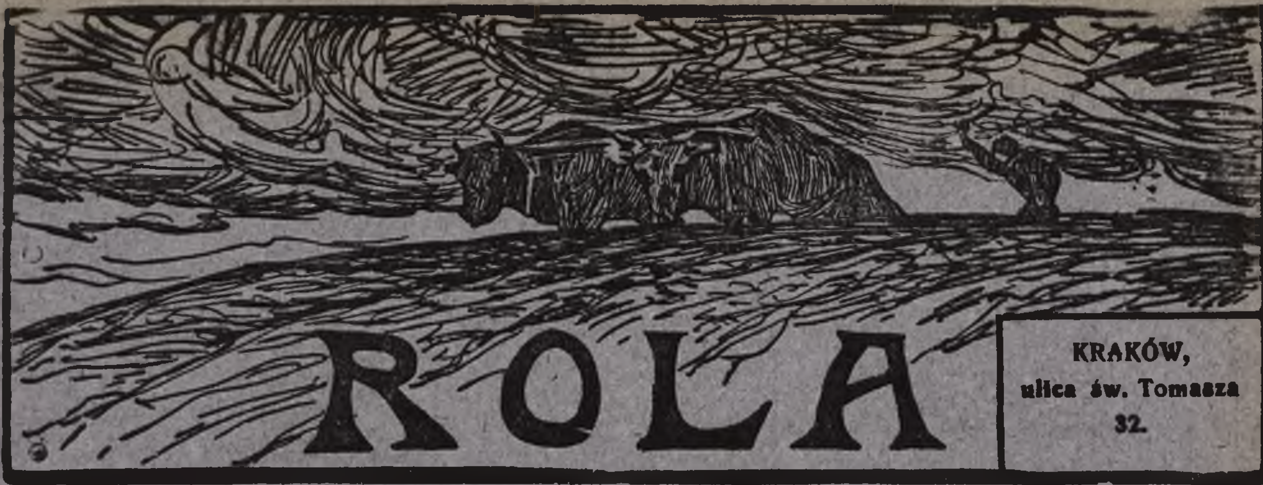
Numer 43. Nal. pozt. opł. rycz. Dnia 21 Października 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Nie do darowania.

Podczas kąpieli w rzece urzędnik bankowy uratował swego tonącego dyrektora. Wdzięczny dyrektor ściska dłoń swego wybawcy i powiada:

— Żądaj pan odemnie, czego sobie życzysz. Gotów jestem wszystko dla pana uczynić.

Na to urzędnik:

— Mam jedną wielką prośbę, panie dyrektorze. Na miłość boską, żeby się koledzy moi nie dowiedzieli, że to ja pana uratowałem.



Odpowiedź.

Wincenty Pol, sławny poeta polski, znany był z ciętego języka w szerokich kołach ludzi, którzy się sprawami artystycznemi zajmowali. Oprócz jednak ludzi odnoszących się z pietyzmem do sztuki znajdowało się sporo kpiarzy, którzy wyśmiewali się literatów i artystów.

Pewnego razu wśród grona osób, gdzie znajdował się również i Pol, po kolacji zeszła rozmowa na poezję i rymowanie.

— Et, co tam poezja — wtrącił jeszcze ktoś — obraca się ona w obrębie znanych rymów i operuje niemi, ale niech mi tak Pan (zwraca się do Pola) dobierze rym do cietrzew... Przy stole wszyscy umilkli i zwrócili oczy na poetę.

Ten siedział w milczeniu, rzucając od czasu do czasu ironiczne spojrzenia na owego „wesołka". Wreszcie odezwał się bardzo poważnie deklamując następujący czterowiersz:

Z poza drzew
Wyleciał cietrzew
Szukał bałwana
I siadł na waćpana.



Przebiegła.

Stary chłop konał, w ostatniej godzinie zwraca się do żony, by dać jej ostatnie zlecenia w sprawach majątkowych:

— Nie zapominaj — powiada, — że Wojciech winien mi jest 25 zł.

— Posłuchajcie, sąsiedzie — odezwała się żona, — jaki ten człowiek jest przezorny i jak o wszystkiem pamięta.

— Nie zapominaj też — mówi dalej mąż — że staremu Maciejowi jestem 50 złotych winien!

— Biedak, teraz znowu ma gorączkę — odpowiada stroskana żona.

Numer 43. Rok XI. Kraków, dnia 21 Października 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Babskie lato.

Niegdyś za dawnych czasów i w naszym kraju trwało lato znacznie dłużej niż dziś. Powiadają, że do samego św. Michała bywało zawsze gorąco, jak w lipcu, a chłody i słoty jesienne zaczynały się dopiero po Matce Boskiej Różańcowej. Aż dopiero pewnego roku, kiedy ludzie zaczęli srodze narzekać na wielkie upały dokuczające im bardzo, rozgniewał się Pan Bóg i tak rozporządził, iż odtąd kraj ich nie miał się cieszyć długiem latem, a od świętej Hanki być mają „chłodne wieczory i ranki“. Kiedy zaś powtarzało się rok po roku, że lato z słowikami uciekać od nas chciało jeszcze przed końcem sierpnia, ludzie bez żalu patrzeć nie mogli na to i wyprosili sobie kilka dni pięknej pogody, kiedy już niejednemu zimno dobrze dokuczyło. Babskie lato trwa czasem bardzo krótko, ale bywają lata, że przeciąga się nawet do połowy listopada.

Podczas babskiego lata wieśniacy ciągną wróżby co do surowości zimy przyszłej zależnie od tego, czy nici pajęcze unoszą się wcześniej czy później, wyżej czy niżej, których powstanie tłomaczą sobie w różny sposób. Oto np. N. P. Marja przechodzi przez wioskę niespostrzeżenie wśród chłodu i deszczu. Wtem zauważy w którejś chacie niewiastę młodą i niedoświadczoną jeszcze w sprawach wychowania dzieci, która nie może poradzić sobie ze swym synaczkiem. Panna Najświętsza przypomina sobie żywo, jak to sama piastowała Dzieciątko i przychodzi w pomoc. W tejże chwili wyziera słońce zza chmur, grzeje ciepło, jak wśród lata i robi się zaraz śliczna pogoda. Młoda wieśnaczka wynosi na dwór przed próg chaty płaczące dziecko, które uspokojone zaczyna się bawić widokiem unoszących się białych nici pajęczych, które rzuciła Panna Marja w tę stronę ze swego wrzeciona. A jaskółki na widok pajęczyny babskiego lata uciekają podobno co tchu z kraju naszego, zdaje się im bowiem, że musiały się zapóźnić z odlotem.

Za dawnych czasów polska jesień słynęła zawsze z niezwykle pięknej pogody i do dziś dnia najwięcej podań jesiennych opowiada nam cudne bajki o babskiem latku, jakiem po srogiej zimie i słocie cieszyli się ojcowie nasi. Jedno z tych podań wspomina Wandę, córkę Krakusa, która dowiedziawszy się o napadzie na kraj przez niemieckich rycerzy, za podszeptem starego czarownika kazała wszystkiem babom po wsiach wyjść z kądzielą przed chaty i prząść nici białe na dworze, mimo, że była już naonczas jesień chłodna i wietrzna. Gdzie tylko zjawili się rycerze niemieccy w zbrojach ze skrzydłami (jak później husarja nasza) uciekali po chwili ze strachu przed czarami babskimi, które zdawały się pętać ich i niewolić. Uciekli tedy Niemcy, nastał spokój w chatach polskich, nad któremi słońce długo jeszcze i jasno grzało, zapanowała radość powszechna, gdyż istniała przepowiednia, iż gdyby czarny rycerz zawojował polską ziemię, nastałaby w niej jesień wieczna a wraz z nią długa, straszna niewola. Nikt jeszcze nie wiedział naówczas o tem, że nici Wandy usidliły żelazne skrzydła u zbroi czarnego rycerza tak, że wielką dla pięknej królewnej zapałał miłością, a na przyszłą wiosnę z liczniejszem rycerstwem stanął u stóp Wawelu, o czem wspomina lud polski do dziś dnia w piosence „o Wandzie, co nie chciała Niemca“. Podobne legendy istnieją o królowej Jadwidze.

Opowiada też inna legenda, że ta biała pajęczyna, która unosi się w powietrzu, to nic innego, tylko przędza Matki Boskiej, jaką Ona snuje na koszulki dla biednej dziatwy. A przędza ta od Jej wrzeciona odlatuje na ziemię i buja w powietrzu, dopóki jej miłosierni ludzie na płótno nie przerobią.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Bitwa pod Raszynem.

Powieść historyczna.

II.

Kiedy Janek przebiegł przez pokój, w którym przed chwilą oficerowie austrjaccy odbyli swoją naradę, zegar, zawieszony na ścianie, wybił godzinę jedenastą.

— Muszę się spieszyć — szepnął do siebie Janek — jeżeli mam uprzedzić Austrjaków.

Już chwytał za klamkę od drzwi, prowadzących do sieni, kiedy przypomniał sobie, że jenerał austrjacki, wydając rozkazy rotmistrzowi von Lampe, pokazywał na mapę, na której oznaczone były wszystkie wsi, któremi podjazd miał maszerować do Nadarzyna. Wprawdzie Janek doskonale zapamiętał nazwiska tych wsi, ale pomyślał sobie, że lepiejby było mieć mapę pod ręką. Spojrzał na stół, przy którym siedzieli oficerowie, i ujrzał na nim mnóstwo papierów.

— Może tam jest i mapa! — pomyślał.

Obejrzał się trwożliwie dokoła i na palcach, z biciem serca, tłumiąc oddech w sobie, zbliżył się do stołu. Jakoż w rzeczy samej leżała na nim roztwarta mapa, a na niej czerwonym ołówkiem podkreślone były nazwiska tych wsi, któremi podjazd miał maszerować. Janek, ucieszony tem niezmiernie, żwawo złożył mapę i wsunął ją do kieszeni, poczem rozglądając się po stole, spostrzegł duży list, zapieczętowany czerwonym lakiem i zaadresowany po niemiecku do jakiegoś pana Schulca w Warszawie.

Janek, nie namyślając się wiele, wsunął list do kieszeni. W tejże chwili podniósł oczy i spostrzegł, że stoi wprost okna, wychodzącego na dziedziniec dworski, okna niczem nieosłonionego, że zatem z podwórza wszystko doskonale widać, co się wewnątrz pokoju dzieje.

— Nuż mię kto zobaczył! — pomyślał Janek i śmiertelny pot go oblał, a nogi tak pod nim drżały, że musiał ręką oprzeć się o stół. Wkrótce jednak odzyskał odwagę i ruszył ku drzwiom, ale zaledwie je otworzył, kiedy spotkał w nich tłustego jenerała i wychudłą postać rotmistrza von Lampe, który patrzał na chłopca swemi maleńkiemi, siwemi oczkami i uśmiechnął się szyderczo. Jenerał położył na ramieniu Janka swą ciężką, tłustą rękę i rzekł:

— Halt!

A rotmistrz von Lampe zbliżył się zaraz do skamieniałego ze strachu chłopca, rozpiął płaszczyk, sięgnął ręką swą, podobną do szponów jastrzębia, do kieszeni Janka i wydobył z niej mapę i list. Uśmiechnął się szyderczo i, pokazując te papiery jenerałowi, rzekł po niemiecku:

— Oto, co ukradł ten mały złodziej.

Janek, usłyszawszy tego szkaradnego rotmistrza, jak go nazwał złodziejem, zarumienił się od oburzenia. Czuł, że mu wszystka krew zawrzała w żyłach. Z okiem zaiskrzonem, z rumieńcem na twarzy, ze ściśniętemi pięściami, posunął się ku rotmistrzowi, który stał, patrzał na Janka swemi maleńkiemi oczkami i śmiał się, ale tak jakoś strasznie, tak cicho, że nie było słychać tego śmiechu wcale, poznać go tylko było można po lekkich drganiach piersi Austrjaka. Kiedy Janek postąpił ku niemu, zapytał, wciąż śmiejąc się, swym suchym, ponurym głosem, zawsze po niemiecku:

— Nu... mały złodzieju, co mi powiesz?

Janek już otwierał usta, żeby wybuchnąć słowami oburzenia, kiedy nagle przyszło mu na myśl, że jeśli chce ocalić siebie i księcia Józefa, powinien udawać, że nie umie wcale po niemiecku. Uspokoił się więc, obrzucił pogardliwym wzrokiem śmiejącego się wciąż rotmistrza, ruszył ramionami i skierował się ku drzwiom. Ale jenerał schwycił go za ramię swą ciężką, grubą łapą i krzyknął donośnie:

— Halt, du Spitzbube!

A potem dalejże mówić po niemiecku:

— Gadaj zaraz, na co ukradłeś tę mapę i ten list? hę, skąd się tu wziąłeś, łotrze jakiś? Skąd ty jesteś, hę? gadaj mi zaraz, bo zawołam żołnierzy i każę się orżnąć jak kota.

Nachylił swą dużą, twarz tak blizko Janka, że biedny, przerażony do najwyższego stopnia chłopiec, czuł na swojej twarzyczce dotknięcie wąsisków jenerała. Ale Janek był zuch nie lada. Nie stracił wcale przytomności i choć blady, przerażony, połykając łzy, których się wstydził, rzekł spokojnie:

— Ja nie umiem po niemiecku — ja nie wiem, co pan chce ode mnie.

— Co on mówi? — zapytał jenerał, zwracając się do rotmistrza.

Ten ruszył ramionami i rzekł:

— Nie wiem, zapewne nie rozumie po niemiecku.

Powiedziawszy to, rotmistrz dobył zegarka, spojrzał na niego i rzekł:

— Panie jenerale, już czas na mnie — kwadrans na dwunastą, mam jeszcze wiele do załatwienia przed wyruszeniem. Proszę o mapę, która będzie mi potrzebną. Z tym malcem — dodał, wskazując na Janka — później się pan jenerał załatwi, zwłaszcza, że trzeba będzie tłomacza. Łatwo go pan jenerał znajdzie między żołnierzami z Galicji, tylko nie dziś, gdy wszyscy już śpią, są bardzo znużeni i szkoda ich budzić dla takiego głupstwa.

— Masz rację, rotmistrzu — i ja sam jestem znużony bardzo — rzekł jenerał, ziewając głośno. — Masz tu mapę i jedź z Bogiem.

Podał rękę rotmistrzowi, który ukłonił się, rzucił szyderskim wzrokiem na Janka i wyszedł. Jenerał tymczasem przeszedł się parę razy po pokoju, spojrzał na stojącego wciąż nieruchomie chłopca, ziewnął, przeciągnął się niedbale i uchylając drzwi od sieni, krzyknął głosem donośnym:

— Franc!

Na ten głos stanął we drzwiach żołnierz, ubrany po huzarsku, ogromny jak sosna, wyprostowany jak struna, z olbrzymiemi wąsiskami, z twarzą czarną i krostowatą.

— Franc — rzekł jenerał — weź-no tego małego hultaja i zamknij go gdzie dobrze na noc, a przy drzwiach postaw straż, żeby nie uciekł.

— Dobrze, panie jenerale, — mruknął Franc i zbliżył się do Janka.

— A gdzież go ty zamkniesz? tu przecież w tym polskim dworze niema więzienia — hę, gdzie go zamkniesz?

— Nie wiem, panie jenerale — mruknął znowu jak niedźwiedź Franc.

— Iii — syknął jenerał — jakiś ty głupi! no, gdzie go zamkniesz, ośle?

— Hm! panie jenerale — mruczał Franc, drapiąc się po głowie — to prawda, że ja jestem osioł, kiedy nie wiem, gdzie tego małego hultaja zamknąć.

Jenerał począł znowu chodzić po pokoju, zamyślony, poczem nagle stanął przed Francem i rzekł:

— Przecież tu musi być jaka piwnica?

— A jest, jest, panie jenerale — mruknął Franc — i tam są dobre wina, oto zaraz z sieni jest do niej wejście, tam można zamknąć tego małego hultaja, żeby tylko...

— Co, żeby tylko?

— Ale... bo to widzi pan jenerał — mruczał Franc, przestępując z nogi na nogę — tam jest dużo, bardzo dużo wina, wybornego wina, prawdziwego Tokaju...

— Więc co?

— Więc, panie jenerale, boję się, żeby ten mały hultaj nie wypił tego dobrego, tego bardzo dobrego wina... młodzieży wino szkodzi...

— Głupiś! — krzyknął jenerał.

— Ja to wiem, panie jenerale, że jestem głupi.

— Więc kiedy wiesz, to milcz i słuchaj!

Franc wyprostował się, wytrzeszczył swe duże czarne oczy i stał tak nieruchomie przy drzwiach, a jenerał mówił:

— Zamkniesz tego małego złodzieja w piwnicy, rozumiesz?

— Rozumiem, panie jenerale — zamknę tego małego złodzieja w piwnicy.

— Postawisz przy drzwiach straż.

— Postawię przy drzwiach straż.

— Tylko czy on stamtąd nie ucieknie?

— Tylko czy on stamtąd nie ucieknie...

Usłyszawszy to jenerał, skoczył, tupnął nogą i krzyknął:

— Czyś ty oszalał, ośle?

— Nie, panie jenerale, nie oszalałem! — gadał Franc, prostując się coraz bardziej.

— Więc czemu powtarzasz po mnie wszystko?...

— Tak... to prawda... czemu ja powtarzam po panu jenerale wszystko? Dalibóg nie wiem, czemu ja powtarzam po panu jenerale wszystko...

— Więc kiedy nie wiesz, to milcz.

Franc znów wyciągnął się, wytrzeszczył oczy, nastroszył swe straszne wąsiska i patrzał w jenerała, jak w tęczę. Ten ostatni mówił:

— Pytam ci się, niedołęgo, czy ten mały hultaj nie ucieknie z piwnicy?

Franc, stojąc nieruchomie, dalejże powtarzać:

— Pytam ci się, niedołęgo... — tu spostrzegł się, palnął się pięścią w usta i zawołał:

— Przebacz, panie jenerale, ale ręczę moją głową, że ten mały hultaj nie ucieknie z piwnicy. To jest, panie jenerale ,sklep, budowany umyślnie na wino, na dobre wino, na prawdziwy Tokaj, a takie skarby ci przeklęci Polacy umieją dobrze chować... Ja to wiem, bo mi to nie pierwszyzna...

Rozgadał się, postąpił parę kroków na środek pokoju i mruczał swym grubym głosem, machając rękami jak wiatrak.

— Do rzeczy! do rzeczy! — przerwał mu jenerał.

— Otóż, panie jenerale, ten mały hultaj stamtąd nie ucieknie, ręczę moją głową, głową huzara węgierskiego. Jak zamknę, tu od sieni, wielkie żelazne drzwi, to i mysz nie wymknie się z piwnicy. Przysięgam na to.

Nie byłby zapewne na pół pijany Franc tak uroczyście przysięgał, gdyby był w tej chwili spojrzał na Janka, twarz rozpromienioną uśmiechem i lekkim wyrazem szyderstwa, zdającą się mówić:

— Przysięgaj sobie, ręcz swoją mądrą huzara głową, ale zamknij mnie tylko w piwnicy, a obaczysz, że mię już nigdy twoje oko nie ujrzy.

Tymczasem jenerał mówił:

— To dobrze, weź i zamknij tego małego hultaja w piwnicy i dla wszelkiego bezpieczeństwa postaw straż przy drzwiach. Jutro rano przyprowadzisz go do mnie, muszę się z nim rozmówić — rozumiesz?

— Rozumiem, panie jenerale.

— No, idź już — a wrzuć mu tam wiązkę słomy lub siana, żeby się miał na czem przespać, przecież to dziecko. Daj mu także chleba i pieczeni trochę, może głodny. No, idź już.

Franc skłonił się jenerałowi i, biorąc Janka za rękę, rzekł:

— Chodź, ty mały hultaju!

I mrucząc coś pod nosem, wyprowadził młodego więźnia do sieni, tu ze stołu wyjął pół bochenka chleba i potężny zraz pieczeni, owinął to wszystko papierem i wsunął pod pachę Jankowi, mrucząc ciągle, ruszając groźnie swymi wąsiskami i mrugając jednem okiem. Potem zawołał na żołnierza, który drzemał na ławie w kącie sieni i kazał mu przynieść słomy — a gdy i ta się znalazła, wziął świecę, otworzył kłódkę u drzwi od piwnicy i, kiwając palcem na Janka, rzekł po niemiecku:

— Chodź!

Po kilku schodach zeszli do piwnicy sklepionej, mającej jedno tylko okienko w górze, mocno okratowane, zastawionej beczkami z winem, czarnej, odrapanej i wilgotnej. Franc wybrał najsuchsze miejsce na ziemi, rozesłał na niem słomę i zbliżył się do Janka z wytrzeszczonemi oczami, z groźnie nastroszonymi wąsami i kiwając wielkim, pałkowatym palcem, rzekł kiepską polszczyzną:

— Ty mala Polak, tu spać!

I zabrał się i poszedł, mrucząc jak niedźwiedź. Janek słyszał, jak Franc zamknął ciężkie drzwi za sobą, w posępnej piwnicy rozległ się zgrzyt zasuwanych wrzeciądzy, trzask zamku i biedny chłopiec został sam wśród ponurych ciemności.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Jesień.

Dni jesieni płyną
I w przeszłości giną
Słońce smutno lśni z za drzew,
Poczerniały pola,
Zaorana rola
Znów na nowy siew.

Ziemię obsiać trzeba
Dla nowego chleba,
By zapewnić byt,
By znów zebrać plony,
Gdy skryją zagony
W lata nowy świt.

Już z drzew liść opada,
A wiatr nim zawłada
Skręca, podrywa, i niesie w dal,
Mgła okrywa wioskę,
A w sercu czuć troskę
Za słońcem, za ciepłem, pozostaje żal.

W polu wrona kracze,
Już ptaki tułacze
Poszły ku słońcu, gdzieś za góry hen,
Śnieg ziemię utuli
W swej białej koszuli
I całą przyrodę, na zimowy sen.

Piotr Leśniak.

O pokarmach zwyrodniających człowieka.

b) **Używki śniadaniowe.** (Cytata z Oskragiełły)

Kawa, herbata, kakao i czekolada są podnietami, zawierającymi pewne do siebie zbliżone alkaloidy, nader silne trucizny. W kawie nazywa się ta trucizna kofeiną, w herbacie, teiną a w ziarnie kakaowym — teobrominą. Prócz tego zawierają one też lotne olejki, nie ustępujące alkaloidom w szkodliwości.

Własności odurzające kawy i herbaty stawiają je w jednym rzędzie z napojami alkoholowymi. Nie zawierają one żadnych składników pożywnych, a nadto zawarty w nich garbnik, przeszkadza trawieniu białkanów pokarmowych. Jeżeli kawa syci, jakto mówią, to nie jej należy się ta zasługa, lecz śmietance i mleku. Wszystkie te środki osłabiają z czasem dzielność trawienia. Wpływ ich na nerwy i krew (bezsenność, stan podrażnienia, stany gorączkowe) jest powszechnie znany. Chińczycy mają przysłowie: „Herbaciarze — chromiarze". W istocie rzeczy Chińczycy herbacie nie bardzo sprzyjają, ponieważ zauważyli zmniejszenie się siły męskiej wskutek jej pijania, co i ja (Oskragiełło) u wielu osób też zauważyłem.

Jeden z kalifów poznawszy się na własnościach kawy, zabronił jej używania w całem państwie. — widać, że bezskutecznie. Pod jednym względem jednak Arabowie większą od nas zachowują ostrożność: Gotują oni kawę w otwartych małych naczyniach, ażeby „zły duch" z waru mógł ulecieć. My zaś staramy się o jego zatrzymanie. Robiono bardzo dokładne doświadczenia z kawą: przeznaczono kilka psów na zagłodzenie, z których jedne pojono kawą inne wodą. Pojone kawą omal dwa razy tyle dziennie traciły na wadze od pojonych wodą. Działanie kawy zatem, podobne jest do działania rosołu mięsnego, który nietylko że nie pożywia, lecz przeciwnie, jeszcze podnosi potrzebę sztucznych pokarmów. Psy karmione rosołem, jeszcze prędzej ginęły od tych, którym nic nie dawano. Najmniej szkodliwym ze wszystkich trzech napojów jest kakao, względnie czekolada mało słodzona i bez wanilji, ponieważ zawiera tylko małe ilości teobrominy, a dość wiele części pożywnych.

O korzeniach takich jak: pieprz, papryka, angielskie ziele, gałka muszkatułowa, cynanon, wanilja i t. p.; powiedzieć trzeba, że są drogie; do przyrządzania potraw zbyteczne i podobnie jak podniety dla zdrowia szkodliwe. Gdy podniety przedewszystkiem działają na nerwy; ostre korzenie bardziej na błony śluzowe przewodu pokarmowego. Z początku, przez podrażnienie wywołują przypływ krwi, skutkiem czego niby podniecają apetyt (przynaglają do zjedzenia więcej niż trzeba). Przy dalszem ich używaniu następuje ostry lub chroniczny stan zapalny błon, a wkońcu nieżyt żołądka i kiszek. Ma się rozumieć, że taksamo obciążają i zaostrzają krew, trują cały ustrój, jak podniety. Osobliwy jeszcze wpływ mają korzenie na życie płciowe; zrazu je podniecając, skłaniają do nadużyć, kończących się coraz szybciej wyczerpaniem; później odbierają sen, wzburzają krew, podniecają do kłótni i złych namiętności, powodując wkońcu ogólne zakażenie krwi.

Profesor Moleschott, ten słynny czciciel podniet, poczuwa się wobec korzeni do obowiązku ich potępienia. Stolicą dla wyrobu zwanego „katarem żołądka" jest Buda-Pest, gdzie zapomocą papryki i wina niebywałe hodują okazy.

Sok: Cukier jest sztucznym wytworem trzciny cukrowej lub buraków i dlatego samego (to jest sztucznego wytworu) nie znajduje się już w związku organicznym roślinnym i jako zbyt mocno zgęszczony, jako taki pokarmem nie jest. Dowodzą tego skutki jego, które bardzo do skutków korzeni się zbliżają. Najbardziej przyczynia się cukier do powstawania kwasoty żołądka. W małych użyty ilościach działa jak korzenie: stępia smak, drażni żołądek i podnieca na razie do nadmiernego wydzielania soków. A że w codziennem życiu jest używany bezustannie i to w sporych ilościach, przeto bardziej przyczynia się do ogólnego stanu chorobliwego niż inne przyprawy. Cukier rozdrażnia, następnie czyni ociężałym, gnuśnym i drażliwym. Zatem cukier sztuczny, chemiczny, jako pokarm stanowczo jest do odrzucenia. W przyrodzonym swym związku owoce, a nawet jarzyny mają tyle cukru, ile nam potrzeba. Ponieważ cukier w rafinerjach sztucznie jest zabarwiany ultramaryną dla pozornej białości, ma jeszcze dodatkowe trujące własności tego pierwiastku.

Sól kuchenna. Jest podnietą mniej lub więcej szkodliwą. Taż sól jest nieprzyswajalna dla naszego ustroju i w warunkach zwykłych, w takiej go opuszcza postaci w jakiej spożyta została. Rozpowszechnienie się soli zawdzięczamy jedynie wadliwemu gotowaniu potraw. Mianowicie wadliwe gotowanie, pozwala na ulatnianie się pierwiastków odżywczych (soli organicznych) o własnościach pobudzających, a nadto z powodu swej miękkości, nie będąc w ustach dostatecznie przygotowane, wymagają sztucznej przyprawy — inaczej byłyby mdłe, bez smaku. Do surowych pokarmów prawdziwych, nikt soli nie doda. Jest dosyć narodów i świadomych rzeczy osobników, którzy soli wcale nie używają, a właśnie dlatego w doskonałym czują się zdrowiu. Sól znajduje się bezwątpienia w roślinach i potrzebna jest dla naszego gospodarstwa ustrojowego, ale tylko sól organizowana, w związku organicznym z innymi pierwiastkami roślinnymi powstająca — dla nas jest przyswajalna. Tę sól dostarczają nam zboża, w dostatecznej ilości. Między solą mineralną a solą roślinną jest ta różnica, że sól mineralna krystalizuje sześciany, zaś sól roślinna ośmiościany Stałe, choć umiarkowane używanie soli jest jedną z głównych przyczyn niedokrewności i otyłości. Sól na żywą tkankę w tensam sposób oddziaływa, jak przy peklowaniu na martwą: wsiąka ona w tkanki ciała; wyrugowywa tak z niej jak i ze krwi różne pierwiastki, między innemi najważniejsze sole krwiotwórcze żelaza i natronu, które w takim razie w postaci wydzielin odchodzą. Raz tedy następuje niedostateczny dowóz tych soli, a powtóre zbytnia ich utrata. Wiadomo zaś, że właśnie brak tych pierwiastków we krwi wyżej wymienione słabości powoduje. Pojmujemy teraz dlaczego ludzkość obecnie tak jest niedokrewną i blednicy podlegającą. Używanie soli ma jednak inną jeszcze niekorzyść. Znajdująca się w tkankach sól mineralna wyciąga ze krwi wodę, zniewala do obfitszego picia i wywołuje puchlinowatą wodnistość komórek, która się objawia nabrzmiałością ciała. Z braku stałych części we krwi, przy zbytku wody, wynika też skłonność do otyłości. Spożyte pokarmy nie mogą być we krwi w zupełności utleniane: raz z powodu braku rozprowadzającego tlen żelaza, a powtóre dla braku rozprowadzającego kwas węglowy natronu, krew utlenia się jeno powierzchownie i składa się jako tłuszcz.

Otyłość nie jest siłą, lecz słabością i pomimo rumianego niekiedy lica, zawsze połączona jest z niedokrewnością. Wysypki na twarzy, zapalenia oczu, nabrzmienie migdałów, zaczerwienienie nosa, brodawki, ból uszu, psucie się zębów, obolałość dziąseł, języka i kątów ust, cierpienia nerek, żołądka, kiszki odchodowej, pęcherza, hemoroidy, kamienie, objawy gnilcowe i wiele innych dolegliwości, są skutkami spożywania soli mineralnej.

Ludwik St. Unsing.

Śmierć generała Sowińskiego.



Józef Longin Sowiński, generał wojsk polskich, urodzony w 1777 roku, waleczny żołnierz Napoleoński, stracił nogę pod Możajskiem w bitwie z Moskalami, ale służył dalej sprawie narodowej i zginął śmiercią bohaterską na Woli pod Warszawą w dniu 6 września 1831 r. Kiedy wojska rosyjskie wdarły się na szaniec reduty polskiej, w której broniła się załoga pod wodzą generała Sowińskiego, rozpoczął się bój straszliwy w ogrodzie i około kościoła. Najdłużej wytrwał Sowiński z czterema kompanjami, zapędzony w kąt na wałach i otoczony z trzech stron przez nieprzyjaciół. Napróżno jednak oficer rosyjski wezwał go do złożenia broni. „Ognia do ostatniego ładunku!" — zawołał starzec, poczem ugodzony kilka razy bagnetem pochylił się bezwładny na stojącą obok armatę i legł śmiercią bohatera. Chwilę tę przedstawia właśnie nasz obrazek, na którym widzimy gen. Sowińskiego przy armacie.

Przygoda myśliwego.

Jedna z najprzyjemniejszych rozrywek dla amatorów myśliwstwa stanowi polowanie czy to w jesieni na kaczki po stawach, czy to w zimie na grubszego zwierza. Przyjemności te jednak połączone są często z różnemi przygodami, a nawet i niebezpieczeństwem życia, zwłaszcza przy spotkaniu się z dzikiem zwierzem jak z wilkiem lub niedźwiedziem, albo z drapieżnym dziś już rzadkim gatunkiem kotów — żbikiem lub rysiem. Jedną z takich przygód opowiedział mi stary leśniczy.

Pewnego razu wybrał się sam jeden ze strzelbą do lasu w górach. Przeszedłszy spory kawał lasu, doszedł do gąszczu. Tu zobaczył ślady stóp niedźwiedzia. Idąc za śladem, doszedł do stromego urwiska. Ponieważ spodziewał się u stóp owego urwiska spotkać z niedźwiedziem, postanowił zająć pozycję dogodną i bezpieczną i w tym celu począł wspinać się na owo urwisko, przeszedłszy wpierw przez głęboki parów, ciągnący się u jego stóp. Przy wspinaniu się nań, wypadła mu broń z ręki i zatrzymała się dopiero na dnie owego parowu. Wtem nagle na zakręcie skały ukazała się sylwetka potężnego, kudłatego niedźwiedzia, który pędził wprost w stronę myśliwego i zaczął wspinać się za nim. W tej strasznej chwili nie stracił myśliwy przytomności umysłu i zimnej krwi. W ostatniej już chwili, gdy miała go dosięgnąć łapa rozjuszonego niedźwiedzia, jednym zręcznym skokiem przedostał się na złom skały i w ten sposób uniknął jego pazurów.

Niedźwiedź nie dał jednak jeszcze za wygraną, ale wspinał się wciąż za nim. Nie marnował czasu również i myśliwy, lecz dobywszy wszystkich sił, wspinał się coraz wyżej. Gdy nareszcie wydrapał się na miejsce bezpieczne, gdzie go już niedźwiedź dosięgnąć nie mógł, odetchnął bezbronny myśliwy nieco swobodniej. Niedźwiedź jednak nie ustąpił. Zszedłszy

powoli tyłem ze skały, położył się u jej stóp, mając ciągle myśliwego na oku, nie odstępując go ani na krok przez dwa dni. Biednego, zgłodniałego i zziębniętego myśliwego ogarnęła rozpacz bezgranic, począł więc, ile mu tylko sił starczyło, wzywać na całe gardło pomocy — lecz ta nie przybywała. Zniecierpliwiona żona myśliwego, gdy tenże już dwa dni do domu nie wracał, nakłoniła dozorców polowania, do podjęcia poszukiwań za nim. Jakoż drugiego dnia pod wieczór, zbliżyli się uzbrojeni dozorcy do owego urwiska, na którem przebywał przez niedźwiedzia oblęgany myśliwy. Celnymi strzałami położyli niedźwiedzia trupem i dopomogli osłabionemu już myśliwemu zejść na dół, obrali niedźwiedzia z futra, wydobyli z parowu strzelbę, i w towarzystwie ocalonego myśliwego wybrali się w powrotną podróż do domu. Żona myśliwego nie mogła powstrzymać się od łez na widok zdrowo powracającego męża. Zastawiła sutą kolację dla męża i dozorców, przy której opowiedział szczegółowo myśliwy przygodę z niedźwiedziem, a podziękowawszy gorąco za ocalenie dozorcom, pożegnał ich serdecznemi słowy. *Piotr Wenc.*



Powiadają ludzie, ze u nas bida, jaze piscy. Ale mnie się widzi, ze jest ona nie ino u nas, ale na całym świecie, od samej Psiej Wólki do Zatraconej Wsi, a moze gdzieindziej jesce większa, jak u nas. Gdyby gdzieindziej było lepiej jak u nas, to ludzie, którzy tam pojechali, juzby do nas nie wracali, aleby siedzieli tam, gdzieby se znaleźli to „lepiej".

Kiedy jednak cięgiem, cy to z Prus, cy Francyje, cy z Hameryki wracają i wracają, to z tego widać, ze tam znowu nie takie micyje, bo jakby to „lepiej" tam było, toby nikt do swojej wsi nie wracał, ale siedziałby tam, gdzie ono to „lepiej" się znajduje.

Wszyscy wracają, ino powrotu jednego jakosik trudno się docekać: ućciwość ludzka gdziesik wyjechała i ani rus jej powrotu się docekać. A dawniej była u nas, ino jej teraz nima.

Brak u nas ućciwości na kazdym kroku. Nima jej w polityce, nima jej w handlu, nima jej w rzemiośle, nima jej w gospodarstwie, nima jej w robociźnie, a juz najbardziej brakuje jej w codziennem pozyciu między ludźmi. Nima jej, bo pewnikiem kajsik wyjechała i tam siedzi, bo jej tam lepiej.

Weźmy najprzód najpaskudniejsą rzec na świecie, to jest politykę. Cy jest w niej ućciwość, jezeli poseł wybrany la obrony ludu, za grose prawa tego ludu sprzedaje, jezeli nie chodzi mu o dobro narodu, ale o własne korzyści; jezeli taki poseł, zamiast poucać ludzi, jeździ od wsi do wsi, przeciw wszystkim i na wszyćko psiocy, a sam nic nie robi, a potem jesce tem, co inksi zrobili, sam się chwali. Cy ućciwy ten poseł, który nietylko sam nic nie robi, ale insem jesce w robocie przeskadza? Nie! on ostał, ale jego ućciwość wyjechała kajsik do Hameryki.

A moze w handlu jest ućciwość? Tu jej prawie nigdy nie było i teraz jej nima, choć tu zawse być powinna. Tu prawie zawse i wsendzie ino kuzden patrzy, jakby drugiego oświabić i la siebie najwiękse korzyści wyciągnąć.

Nima tej ućciwości i w rzemiośle. Sewc podcina skórę przy zelówkach, aby znowu prędzy buty do roboty dostał; krawiec syje nićmi bez guzików, aby się prędzy portki spróły; kowal umyślnie kiepsko konia podkuwa, aby prędzy miał znowu robotę; a nawet golibroda zostawia na brodzie korzenie włosów, aby te juz za tydzień mogły na nowo wyrastać i on miał co człowiekowi po skórze skrobać. I gdziez tu — pytam ja się was — jest ućciwość?

A w gospodarstwie moze ona jest? Była, ale dawniej, teraz jej nima, bo kajsik pojechała. Bo cy to ućciwie, jak gospodarz swoje gady przy robocie pierze batem właśnie wtedy, kiedy one na niego pracują; cy to ućciwie, jak gospodarz pozwala wodzie zimniaki zaliwać, albo chwastami zarastać; cy to ućciwie, jak gospodarz tak robi, aby się tylko zbyć, aby było, aby ino... Nie! Nigdy! To nie jest zadna ućciwość, ale obełgiwanie świata i samego siebie.

Nima tej ućciwości i w robociźnie. Najmies robotnika, to on nie patrzy, ile zrobi, cy zarobi te pieniądze, które ma dostać, ino rachuje, ile dostanie. Najczęściej powiada:

— Ja nie przysedem, aby się narobić, ino aby zarobić!

A cy takie gadanie jest ućciwe, cy w takiem człowieku jest ućciwość? Juści na murku!

A juz najgorzej to w zyciu codziennem. Pomiędzy ludźmi są baby dwojakiego rodzaju, mniejsa z tem, cy one chodzą w portkach, cy w spodnicy! Jedne śnich nie mają nic lepsego do roboty, ino patrzą, aby na swojego sąsiada, cy sąsiadkę jaką bajeckę wymyślić, aby go ocernić i to swoje zmyślenie w ruch puścić. Takie baby to jakby miały fabrykę plotek wselakiego rodzaju. A drugie zasie same nie zmyślają, bo one zagłupie na to, ale niechno ino posłysą co zmyślanego, to nie dośpią, nie dojedzą, ale cemduchu pognają po wsi, aby te plotusie kochane jak najbardziej rozszerzyć. I cy jest u takich ludzi ućciwość? Nie z nich zadne nie pomyśli, ze swojem parsywem jęzorem więcej nieraz na świecie złego zrobi, jak sto armat na światowej wojnie. Gdyby takiem babom kto ozory z gęby powydzirał, toby się moze prędzej na świecie ućciwość znalazła. A tak, to nima jej w zadnem narodzie, a juz najbardziej w nasej kochanej Polsce, gdzie bajcarzy więcej jak gwiazd na niebie, a liści na drzewie. I dopokąd u nas tej ućciwości nie wypielęgnujemy, to nigdy nie będzie lepiej, ale będzie coraz gorzej.

Myśli.

W rowie pijany leży, świnia tam doń bieży,
Rech, rech, jak bezroga umie, a on do niej: „dzień dobry [wam kumie".

✡

Czasami brudna beczka drogi płyn zawiera —
Nieraz z brzydkiego ciała — piękny duch wyziera.

Piotr Wenc.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

W Ekwadorze — pod równikiem.

W swoich przechadzkach po szerokim świecie zwiedziliśmy już najdalszą północ i najodleglejsze południe ziem amerykańskich. Teraz przeniesiemy się w sam środek Ameryki, nad równik, gdzie słońce przez większą część roku praży żarem ognistym. Znajduje się tam kilka republik, z których największą jest Meksyk, gdzie swojego czasu został zamordowany brat cesarza austrjackiego Franciszka Józefa I, Maksymiljan. Na południe od Meksyku leży Rzeczpospolita Ekwador, którą przecina równik, a więc w miejscu, gdzie gorąco panuje największe. Jest to państewko niedawne, bo utworzyło się dopiero w 1831 roku z części innej Rzeczypospolitej, zwanej Kolumbją. A nawet do dziś dnia granice Ekwadoru są niestałe. Ludność mieszka tam bardzo rzadko i to tylko na wybrzeżach i w dolinach; w głębi kraju nie zniosłaby wielkiego gorąca. Na wybrzeżach przemieszkują przeważnie Murzyni, dalej ku wyżynom, i to nieco gęściej Indjanie.

Ekwador jest krainą dziko wyglądającą. Trzy czwarte jej obszaru zajmują knieje leśne, a ludność tamtejsza prowadzi żywot napół dziki. Pomiędzy ludnością jest garść białych, reszta to mieszkańcy Indjan z białymii, którzy wyglądem zewnętrznym upodobnili się do białych, ale naturę zachowali indyjską. O ile ziemi nie kryją olbrzymie lasy, to rozlegają się tam obszerne pastwiska, albo pustynie posuszne. Ziemi uprawnej prawie nie widać, jedynie zasiane pola znajdują się w pobliżu morza i w dolinie rzeki Amazonki. Największem bogactwem kraju są lasy, choć wielkie też korzyści przynoszą: kora chinowa, kakao, kawa, banany, bawełna, indygo, kauczuk, tytoń i mnóstwo roślin leczniczych.

Morze dostarcza wielu muszli, ostryg i homarów. Znajdują się też różne szlachetne kamienie, co można spostrzec nawet w piaskach wód.

Że dawniej i w Ekwadorze mieszkali więcej cywilizowani ludzie, świadczą o tem ruiny starożytnych budowli. Kto je pobudował, dziś sprawdzić trudno. Obecnie mieszkania tamtejszej ludności są lepiankami ubitymi z gliny. Jedynie nieliczne miasta nadbrzeżne są podobne do naszych.

Indjanie tamtejsi są staremi dziećmi pod względem inteligencji, charakteru i zwyczajów, ale nie pod względem namiętności, bo skoro kto Indjana zadraśnie, wówczas z łagodnego dziecka staje się dzikim i okrutnym. Indjanin tamtejszy kocha nadzwyczaj wolność. Ani świadków, ani kontroli! — to zasada, w której się mieszczą wszystkie ich pragnienia. To też Indjanie mieszkają w samotnych osadach i do założenia wsi w naszem pojęciu bardzo trudno ich nakłonić.

Nazwa czerwonoskórych nadawana Indjanom każe się domyślać, że skóra ich ma kolor miedziany. W rzeczywistości tak nie jest; Indjanie są brunatni, lecz pod tym względem niewiele się różnią od niektórych mieszkańców południowej Europy. Przydomek czerwonoskórych pochodzi zapewne od farby czerwonej, którą malują swe ciało. Do tego używają ziarnek pewnej rośliny, które rozcierają w palcach, mieszają ze śliną i rysują na twarzy i całem ciele najbardziej fantastyczne wzory. Ponieważ nie mają zarostu, malują więc sobie czarną farbą wąsy i brodę.



Uroczystości pogrzebowe w Ekwadorze.

Jako ozdoby służą im wieńce z piór tukanów i kolibrów, naszyjniki z zębów małpich i tygrysich, bransolety ze skóry węży, muszli, ziarnek orzechów itp. Zresztą nie mają oni jakichś specjalnych wzorów, ale każdy stroi się jak może i umie.

Jedynem zajęciem tamtejszych Indjan to polowanie i rybołostwo. Wszelakie inne prace wykonują kobiety.

Indjanin, choć w życiu jest materjalistą, spokojnie oczekuje śmierci. Zawsze zajęty walką z dzikimi zwierzętami, lub nieprzyjaznem pilemionami, narażony dniem i nocą na ukąszenie płazów i jadowitych owadów, umiera zwykle tak, jak żył, bez troski i trwogi. Wiara jego jest chwiejną, widnokrąg pojęć nadzwyczaj ciasny, wie on bardzo mało o Bogu, o duszy, o wieczności. Jeżeli jednak obojętnie przyjmuje śmierć własną, to strata bliskich mu osób doprowadza go do rozpaczy, która wielokrotnie kończy się samobójstwem.

Indjanie nie chcą grzebać zmarłych gdzieindziej, tylko w świątyni. Jednem ze zwykłych ich zleceń, dawanych przez umierających jest, aby na ich ciało nie padały deszcze. Zmarłych żegnają nie smutkiem, ale wesołością. Rodzina zawiadamia najbliższych i dalszych sąsiadów o zaszłym fakcie. Zewsząd schodzą się znajomi i nieznajomi. Ciało zmarłego wynoszą przed chatę, opodal której zasiada muzyka i rozpoczyna wygrywać wesołe melodje. Puszcza się para za parą w ochoczy taniec; zdaje się, że to wesele, a nie obrzęd pogrzebowy. Scenę taką przedstawia właśnie nasz obrazek. Widzimy na nim i zmarłego, leżącego na łożu śmierci pod ścianą domu, i muzyką grającą od ucha, i tańczące wesoło pary. Jedno tylko może uderzyć jeszcze naszą uwagę, a mianowicie stroje, podobne nieco do strojów naszych górali. Ale trzeba wiedzieć, że zdjęcie fotograficzne do naszego obrazka zostało uskutecznione w osadzie bardziej cywilizowanej, w której już dawno wprowadzono okrycia nawzór ludów kulturalnych, chociaż cywilizacja pozostała tam jeszcze na bardzo niskim poziomie. Ci Indjanie, których widzimy na obrazku, są nawet chrześcijanami, choć dotychczas nie zarzucili jeszcze swoich zwyczajów pogańskich.

Ale i tam postęp staje się coraz widoczniejszy, a zasługa to katolickich misjonarzy, którzy, nie zrażeni tropikalnemi upałami, spieszą tam, aby nieść nietylko światło wiary, ale i cywilizację europejską.

Ślepa niewolnica.

Rozdział XXX.

Lekarz Braila.

Sassa zajęła w domu lekarza dwa pokoje, w których Braila odwiedzał ją dwa razy dziennie, badając jej oczy i zarządzając środki przygotowawcze do zamierzonej operacji.

Był on sam niespokojny o jej rezultat, ale ufność Sassy, jej piękność i łagodność, były dlań pobudkami do nieszczędzenia wszelkich usiłowań, aby tej uroczej istocie przynieść prawdziwe szczęście przez przywrócenie wzroku.

Książę, który zamieszkał w przeznaczonym dla siebie pałacu w Wiedniu, oczekując na rezultat kuracji, nie mógł bywać u dworu, ponieważ dwór opuścił już stolicę.

Mieszkańcy już trwożyli się niebezpieczeństwami wojny. Spodziewano się jednak, że wojsku cesarskiemu, jeżeli zdoła połączyć się z polskiem, uda się wstrzymać pochód nieprzyjacielski.

W obwarowaniu Wiednia, z polecenia ustanowionych przez cesarza zarządców, panowała nadzwyczajna czujność około budowy wałów i murów i zaopatrywania ich w armaty. Przygotowywano się na najokropniejsze następstwa, ponieważ nadeszła wiadomość, że straszne hordy tatarskie szeroko zapuszczają swe zagony, sięjąc dokoła śmierć i zniszczenie.

Książę Aminow jednak nie przypuszczał jeszcze, aby się Turkom udało dostać aż pod Wiedeń, a nawet gdyby do tego przyszło, sądził, że jeszcze i jego małżonce wolno będzie miasto opuścić, jako poddanym obcego monarchy. Nadzieja, że Sassa odzyskać może wzrok, ani na chwilę nie pozwoliła mu pragnąć wyjazdu z Wiednia przed odbyciem operacji.

Rozdział XXXI.

Złowrogie odwiedziny.

Tymczasem Sobieski, z nieliczną swą armją, przekroczył Dunaj i tu postanowił czekać na książąt, mających przybyć ze swymi oddziałami, a zwłaszcza na Litwinów, których zastęp był mu potrzebny bardzo do wzmocnienia jego sił.

Nie rozbijał formalnego obozu, ponieważ nie miał zamiaru długo pozostawać na miejscu i zachodziło niebezpieczeństwo napadnięcia przez Tatarów.

Rozstwił placówki, zakazawszy im rozpalania ogni i obozował z wiernem swem wojskiem w miejscu, o ile można było najlepiej osłoniętem nad brzegiem Dunaju.

Znajdował się tu niewielki dom opuszczony przez mieszkańców. Ten dom zajął król dla siebie i dla swego otoczenia.

Nad wieczorem placówki spostrzegły nadjeżdżającego na brzeg jeźdźca, który zmierzał prosto do obozowiska polskiego.

Z początku widzieli tylko konia i znajdującą się nad nim nierozpoznalną masę, która zupełnie przylegała do jego grzbietu.

Żołnierze, nie spuszczali z oka zbliżającego się galopem konia.

— Ha! czy nie widzicie? — zawołał jeden z nich wskazując, — czy nie widzicie, kto na koniu siedzi? Nie, nie siedzi, lecz leży, objął konia za szyję obiema rękami i pędzi jak wicher stepowy.

— Tak, teraz i ja go widzę! — rzekł drugi żołnierz, — to Czerwony Sarafan!

Odgłos szczególnego śmiechu doszedł do placówki.

Jeździec zeskoczył z konia, którego żołnierze przytrzymali i uwiązali.

— Czego tu chcesz? — zapytał jeden z żołnierzy.

— Chcę iść do Jana Sobieskiego, waszego króla, — odparł Czerwony Sarafan ochrypłym głosem.

— Tam stoi król! — zawołano.

Czerwony Sarafan, ujrzawszy króla, pobiegł do niego i padł mu do nóg.

— Przyszedłem do ciebie, panie, — rzekł.

— Wstań Sarafanie, — odrzekł król z dobrocią, — ocaliłeś mi raz życie, nie zapomnę ci tego. Wejdź!

Żołnierze patrzyli zdziwieni, że król zabrał Czerwonego Sarafana do siebie.

— Przychodzę do ciebie panie, by cię ostrzedz, — rzekł Czerwony Sarafan, pozostawszy sam na sam z Sobieskim. — Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo, panie! — twoi nieprzyjaciele zmówili się i czychają na twoje życie! Mieli tajemną schadzkę! Nie czekaj na Litwinów, hetman polny Pac, zatrzymuje ich.

— Litwinów? Mylisz się Sarafanie! odpowiedział król poważnie, — oni nadejdą, mogą nadejść lada chwila, a są mi potrzebni dla wzmocnienia moich sił.

— Czekasz na nich napróżno, panie!

—Łudzisz się jakąś mylną wiadomością. Liczę na to, że nadejdą jeszcze dzisiaj. Kapitan Wychowski, wyjechał naprzeciw nim!

— Nie przyjdą, panie! Usłuchaj mojej przestrogi! Jest to obliczone na twoją zgubę.

Zaledwie Czerwony Sarafan, wymówił te słowa, gdy drzwi otwarły się i kapitan Wychowski, okryty potem i pyłem wszedł do pokoju króla, w którym znajdowało się tylko łóżko polowe, stół i kilka krzeseł.

Król spojrzał badawczo na kapitana, którego twarz nie oznajmiała pomyślnej wieści.

Przyboczni króla, znajdujący się przy nim, oczekiwali z niecierpliwością słów kapitana.

Wychowski skłonił się królowi.

— Przynoszę fatalną wieść najjaśniejszy panie, — rzekł głosem zdradzającym wzburzenie.

— Nadchodzą Litwini, kapitanie? — zapytał król.

— Nie, najjaśniejszy panie, Litwini nie przyjdą!

Jan Sobieski przeląkł się. Prędzej niż mógł się spodziewać, potwierdziły się słowa Czerwonego Sarafana.

— Nie przyjdą? Czy ich widziałeś? — zapytał.

— Nie możemy czekać na nich i liczyć, najjaśniejszy panie, przywódzcy zwlekają umyślnie, gdyż inaczej jużby tu być musieli, — raportował Wychowski, — spotkałem kilku zbłąkanych. Powiedzieli mi, że hetman polny Pac był u dowódzców i że natychmiast wstrzymali pochód.

Król patrzył ponuro przed siebie.

W tej chwili hetman polny koronny Jabłonowski, wszedł rozdrażniony do pokoju. Należał on do najwierniejszych stronników króla. Rysy jego zdradzały, że przychodzi z fatalną wiadomością.

— Jakąż wiadomość przynosisz hetmanie? — spytał król.

— Smutną wiadomość, najjaśniejszy panie. Nieszczęśliwy jestem, że ją przynoszę! — odpowiedział Jabłonowski.

— Mów jestem przygotowany na wszystko, — rzekł Sobieski.

— Książęta, którzy spieszyli do nas i na których czekamy, najjaśniejszy panie, wrócili do siebie i kazali oznajmić waszej królewskiej mości, że w ich państwach wybuchły niepokoje.

— Kłamstwo, proste kłamstwo! — zawołał Sobieski z gniewem, — chcą mnie wystawić na zgubę, niepokoje są tylko wymysłem! Ale dość tego! Będziemy walczyli bez nich i spełnimy nasz obowiązek! Dziękuję ci, Sarafanie, za twe doniesienie! Nie wierzyłem im, lecz sprawdziło się to, coś mówił! Każ sobie dać jeść i pić, będę pamiętał o tem, żebyś dostał zasłużoną nagrodę.



To czerwony Sarafan pędzi.

Król zwrócił się do Jabłonowskiego i innych dowódzców, aby z nimi odbyć naradę. Służący wniósł światło.

Rozdział XXXII.

Operacja.

Hordy tatarskie coraz ciaśniejszem kołem otaczały Wiedeń.

Książę Aminow, nie chciał się jednakże wydalić i zabrać swojej małżonki przed uleczeniem.

— Kiedyż pan będzie mógł przedsięwziąć operację, na której mi tyle zależy, — zapytał doktora Braili.

— Jutro, mości książę, — odpowiedział Braila, — przykro mi bardzo, że księstwo będą musieli zostać tu jeszcze i przebyć z nami oblężenie Wiednia, które według wszelkich oznak będzie długie i ciężkie.

Zamieniwszy kilka pełnych miłości słów z księciem, Sassa udała się do ciemnego pokoju, w którym nazajutrz miała się odbyć operacja.

Radość, jakiej Sassa doznała na myśl, że wreszcie wydobytą zostanie z pośród tej ciemnej nocy, co ją otaczała, nie dała jej spać i zrana wstała bardzo wcześnie.

Godziny upływały jedna za drugą. Nareszcie do pokoju Sassy wszedł doktór Braila z pomocnikami. Zaprowadził on młodą księżnę do krzesła, które przyniósł z sobą i do którego ją przywiązano tak, żeby nie mogła się poruszyć. Następnie otworem zrobionym w oknie, wpuszczano promień światła na twarz Sassy, żeby lekarz przy operacji mógł widzieć.

Zręczny operator rozpoczął niebezpieczną i decydującą czynność. Oddaliwszy błonę zasłaniającą jedno oko przy pomocy ostrego narzędzia, uwolnił następnie drugie oko od tej samej przeszkody.

Na znak jego znikł natychmiast promień światła z pokoju, w którym panowała zupełna ciemność.

Operacja odbyła się prawie bez bólu.

Pomocnicy lekarza odwiązali Sassę od krzesła.

— Co to jest? — zapytała Sassa, — czy operacji nie będzie?

— Operacja już skończona, mości księżno, — odpowiedział Braila, — wszystko skończone.

— Biada mi... nie widzę nic! — rzekła Sassa.

— To rzecz naturalna! Księżna pani nie może jeszcze nic widzieć, gdyż tu jest zupełnie ciemno, a wzrok musi się powoli przyzwyczaić do światła. Sam jeszcze nie wiem, czy mi się udało przwrócić wzrok księżnej pani, ale mam nadzieję, że tak jest. Niech księżna pani raczy pozostać, o ile można spokojną.

— To mnie dziwi, — odrzekła Sassa, — sądziłam, że zaraz będę widziała, tak jak wszyscy. Poddaję się jednak pańskim przepisom. Kiedyż będę mogła widzieć?

— Tego dziś jeszcze oznaczyć nie mogę, — rzekł Braila. I pożegnawszy księżnę odszedł z pomocnikami.

Sassa pozostała sama, ze swą służącą, nawet małżonek nie mógł ją odwiedzać.

Natsępnego dnia zaczęła Sassa już rozpaczać, ponieważ nie czuła żadnej zmiany.

Nareszcie przyszedł Braila i uchylił cokolwiek okiennic.

W pokoju panował zmrok bardzo słaby, tak, że zaledwie można było dojrzeć słabe zarysy znajdujących się w nim osób.

Nagle Sassa wydała krzyk zadziwienia i radości.

— Co to jest? — zawołała, to nie ta sama noc, co mnie otaczała dotychczas! Spostrzegam jakieś kształty!

— Wielbijmy za to Wszechmocnego, księżno pani! — rzekł Braila głosem drżącym ze wzruszenia, — to dowód, że wzrok odzyskany!

Służąca płakała głośno.

Była to wzruszająca, niepodobna do opisania scena.

Sassa musiała się dopiero przyzwyczajać do nowych zupełnie dla niej wrażeń. Przez długi czas nie śmiała się poruszyć. Widziała postacie Braila i swej służącej, jako słabe cienie wśród mroku.

Następnie upadła na kolana.

Szczęście, którego pierwszy cień dopiero objawił się jej, było tak wielkie, że musiała za nie podziękować Niebu.

Wstała po chwili i podała rękę doktorowi.

— Widzę pana, wiem nie słysząc i nie dotykając, że jesteś, — rzekła, — przyjm podziękę ocalonej, którą z wiecznej nocy wyprowadziłeś! Niech to panu Bóg wynagrodzi.

— Największą moją nagrodą, jest radość z udania się operacji, mościa księżno, — odpowiedział Braila wzruszony, — ale teraz należy zachować ostrożność. Z każdym dniem będzie przybywało cokolwiek więcej światła, powoli wszystko stawać się będzie wyraźniejszem dla księżnej pani i tym sposobem księżna pani oswoji się z nowemi wrażeniami.

Braila wyszedł.

W przyległym pokoju czekał w największym niepokoju książę.

— Czy mogę prosić księcia pana? — rzekł doktór.

— Przedewszystkiem uspokój mnie pan! — odpowiedział książę Aminow, — uwolnij mnie od dręczącej niepewności.

— Jestem szczęśliwy, mości książę, że mogę oznajmić, że operacja się udała, rzekł Braila.

— Moja żona będzie widziała? — odzyska wzrok? — zapytał książę i wszedł do nadzwyczaj słabo oświetlonego pokoju.

— Tak! widzę cię już teraz, mój mężu! — odezwał się radosny głos Sassy, zbliżającej się do księcia, który ją objął w uścisku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zbrodniarze z „lepszych domów".

Niezmiernie ciekawy problem poruszył w swej książce „Tajemnice kryminalogji" znakomity psychjatra sądowy dr. Jagner, poświęcając głównie swe studja zbrodniarzom z „lepszych domów".

Zawsze budzili przestępcy, pochodzący z pierwszorzędnych domów, wielkie i zrozumiałe zaciekawienie, wśród szerokich mas, dla których pozostało problemem — jak ludzie, którzy młodość spędzali w dobrobycie i dostatku, którzy nie znali trosk codziennych — wykolejali się w dalszej drodze swego życia, schodząc na bezdroża zbrodni i występku.

Wrodzona inteligencja ich pozwala im na dokonywanie zbrodni w sposób bardziej rafinowany, co jeszcze więcej potęguje zainteresowanie tłumów.

Z bardzo dobrej rodziny pochodził największy morderca kobiet Hugo Schenk. Ojciec jego był prezydentem sądu. Potworny zbrodniarz, który na sumieniu miał kilkanaście istnień ludzkich, już od najwcześniejszej młodości okazywał zbrodnicze skłonności. Hugo Schenk czytał pilnie ogłoszenia matrymonjalne. Nawiązywał następnie znajomość z zamożniejszemi kandydatkami małżeńskiemi, naznaczał dzień ślubu, wydobywał od ofiar kosztowności i gotówkę, a potem w bestjalski sposób je mordował.

Zginął na szubienicy z obłędnym okrzykiem: „Szatanie, za chwilę będę w twej władzy!"

Kroniki kryminalne notują bardzo ciekawe szczegóły w związku z procesem wielokrotnego mordercy Oto Hugo Schenk otrzymywał w więzieniu kwiaty i liczne dary oraz listy. miłosne.

Nad tą zagadką głowili się psycholodzy, nie mogąc zrozumieć sentymentu kobiet dla zbrodniarza, którego ofiarą padały ich rówieśniczki.

Z ostatnich wypadków kryminalnych, wywołała wielkie poruszenie sprawa studenta Bergmeistera, syna profesora uniwersytetu. Ów Bergmeister utrzymywał stosunek z młodą urzędniczką.

Pewnego dnia, dowiedziawszy się, że młoda urzędniczka ma nadać większą sumę pieniężną na poczcie, postanowił ją zamordować i zrabować pieniądze. W oznaczonej godzinie czekał na nią przed bankiem, przywitał się z nią jak zwykle serdecznie, a biedna dziewczyna nie wiedziała, że miłość i zaufanie dla zbrodniarza opłaci wnet swem młodem życiem. W pewnej chwili wtrącił ją do sieni jakiejś kamienicy, nożem rzeźnickim podciął jej gardło i zrabował pieniądze.

Na rozprawie sądowej tłumaczył się, że były w nim dwie dusze. Nie mógł się oprzeć jej mocy.

Skazany został na dożywotnie więzienie. Ojciec, profesor uniwersytetu nie mógł przeżyć tej hańby, jaka spadła na siwą jego głowę i popełnił samobójstwo.

Także niedawny proces praski dr. Klepetar, ponure odsłonił tajnie intelektualnych zbrodniarzy.

Dr. Klepetar był doskonałym esaistą, którego prace tłumaczono nawet na obce języki. Jego poezje budziły ogólny podziw, oryginalnością formy. Mimo tych właściwości duchowych, popełnił morderstwo rabunkowe na biednej kobiecie. Dr. Klepetar pisze teraz w więzieniu studjum o „psychologji zbrodniarzy".

Głośnym był również proces studenta politechniki Nadwornika, pochodzącego ze starej patrycjuszowskiej rodziny.

Młodość spędził w uroczej willi swoich rodziców, którzy nie szczędzili kosztów na utrzymanie i wychowanie jedynaka.

Nadwornik nie okazywał jednak nigdy zainteresowania do nauki.

Jedyną jego lekturą były kryminalne powieści, które czytał z ogromnem zainteresowaniem.

Zbrodnia Nadwornika miała ciekawe podłoże. Od dłuższego czasu grasowali w stolicy wiedeńskiej bandyci automobilowi, którzy na amerykański sposób wpadali w jasny dzień do banków z browningiem w ręku i rabowali pieniądze, a zanim przestraszone ofiary mogły odzyskać przytomność umysłu, już znikali w automobilach. Długo śledziła policja przestępców. Trudno jednak było znaleźć sprawców bandyckich napadów.

Policja szukała zbrodniarzy w zaułkach i dzielnicach przestępców, nie kierując swoich kroków do arystokratycznej dzielnicy Hietzing, w której mieszkał ów Nadworny. On to bowiem okazał się sprawcą.

— Charakterystyczne — dodaje dr. Jaureg, — że w najliczniejszych wypadkach dobierają sobie intelektualni zbrodniarze do pomocy ludzi z najniższych klas, których dopiero wychowują na zbrodniarzy. Ci ludzie, niżsi inteligencją, dają się zupełnie opanować przez swych „wykształconych" towarzyszy, słuchając ślepo ich rozkazów i wskazówek. Ponurą zagadką duszy ludzkiej pozostaną zawsze te mordy, dokonywane przez ludzi, którzy w życiu nie zaznali nędzy ani głodu i którzy z jasnych, wytwornych salonów dostawali się do ciemnych murów więziennych.



Na „dobranoc".

Oj! huczno i wesoło w Jaśkowej zagrodzie.
Topią się chłopcy w wódce, jakby gęsi w wodzie.
Muzyka im przygrywa głośno, z całej mocy —
Niech Jasiek dziś użyje przy swej »dobrej nocy«.

Niech pożegna kamratów w kawalerskim stanie,
Nim złoży przed ołtarzem Basi ślubowanie,
Bo jutro popołudniu ksiądz im ręce złączy.
To trzeba żony słuchać chcący, czy niechcący!

Ale to trudna rada, kiej tak jest na świecie,
Że zawsze chłopu lepiej przy swojej kobiecie,
Choć w kawalerskim stanie też znów źle nie bywa
Ale przecie się każdy do dziewki wyrywa.

Jasiek dzisiaj szczęśliwy, niczem król w swej chacie,
Myśli jeno o Basi i »Venikreacie«.
Który mu organista zagra uroczyście,
A kościelny zaświeci »dwaścia« świec rzęsiście.

Pleban pobłogosławi, a potem — radości!
Przytuli już do serca swą żonę z miłości,
W pas ujmie przy muzyce — w tempie krakowiaka
Posunie się po izbie ze zwinnością ptaka.

A potem ust korale — rozkoszne maliny
Zcałuje ogniem warg swych przez długie godziny,
A póżniej wonne siano z pod srebrzystej kosy
Zapachnie im, odurzy — uciszą się głosy.

Pieszczoty i westchnienia... hej czasy młodości,
Jakiż to cudny sen — ten sen młodości!
Dopóki nie zapuka starość w nasze wrota
Śnimy przez całe życie — snuje się nić złota.

Oj! huczno i wesoło, a z wielką paradą,
Na drabiniastym wozie już drużbowie jadą
I wiozą pannę młodą — co śpiewa, wesoła —
Niedługo ich połączy ślub w murach kościoła.

Robert Rydz.



Poradnik gospodarczy.

Bardzo ważną czynnością dla podniesienia rolnictwa to są meljoracje, dlatego też rząd polski akcję meljoracyjną nietylko popiera, ale i wydatnie ją finansuje. Nie licząc kapitałów prywatnych, wydatkowano w Polsce w latach 1924—28 na akcję meljoracyjną około 80 miljonów złotych z funduszów państwowych i zainteresowanych zrzeszeń gospodarczych, w czem kapitały państwowe figurują pozycją przeszło 60 miljonów złotych. Z powyższej sumy wydatkowano na meljoracje państwowe około 36 milj. złotych, a na meljoracje szczegółowe około 44 milj. zł. Są to sumy wprawdzie niewielkie, ale należy wziąć pod uwagę, że większość ich, bo przeszło 75 proc., zużytkowanych zostało dopiero w roku 1927 i 1928, w których to latach rząd był w stanie uruchomić na cele meljoracji większe kapitały.

W szczególnie dużym stopniu w państwowej akcji finansowania meljoracyj partycypuje państwowy Bank rolny, który rozprowadził na ten cel do dnia 10 bm. około 27.5 milj. zł. w wypłaconych pożyczkach. Początkowo P. B. R. udzielał pożyczek z państwowego funduszu kredytu na meljoracje rolne, z którego to funduszu wypłacił 16.5 milj. zł. Od lipca br. na podstawie rozporządzenia ministrów reform rolnych, skarbu i rolnictwa z dnia 11 czerwca 1928 r. — Bank rozpoczął udzielanie pożyczek w złotych 7 proc. obligacjach P. B. R., których wypłacił w niespełna dwa miesiące na sumę 8.500.000 zł. Ponadto, Bank udzielił z własnych funduszów około 2.860.000 zł. z tytułu likwidacji przyrzeczeń pożyczek z państwowego funduszu kredytu na meljoracje rolne, które to pożyczki prawdopodobnie zostaną skonwertowane na pożyczki w 7 proc. obligacjach.

Powyższy udział państwowego Banku rolnego w finansowaniu meljoracyj okaże się znacznie większy przy końcu roku bieżącego, bowiem Bank, uruchomiwszy kredyt meljoracyjny na podstawie obligacyj jest w możności zdobywania ciągle nowych na ten cel kapitałów i udzielania w tej drodze dalszych pożyczek.

Ogółem P. B. R. przyznał dotychczas około 44 miljonów zł. pożyczek na zmeljorowanie przeszło 80 tys. hektarów ziemi, które wypłaca ratami, w miarę postępu robót meljoracyjnych. W samych obligacjach meljoracyjnych władze Banku przyznały ogółem do dnia 11 sierpnia br. 170 pożyczek na sumę 24.857.800 złotych, na zmeljorowanie 32.500 ha, z czego około 95 procent pożyczek przyznano Spółkom wodnym. Należy jeszcze podkreślić, że P. B. R. udziela pożyczek wyłącznie na meljoracje szczegółowe, posiadające dla drobnego rolnictwa znaczenie największe, przyczem z ogólnej sumy pożyczek przyznanych ostatnio w 7 proc. obligacjach, około 90 proc. przeznaczonych jest na drenaż.

Obok pomocy kredytowej państwowy Bank rolny troszczy się również o propagandę zagadnień meljoracyjnych wśród drobnych i średnich rolników. Jednym z przejawów tej akcji propagandowej było zorganizowanie przez P. B. R. wspólnie z organizacjami rolniczemi działu meljoracyjnego na wystawie przemysłowo-rolniczej w Wilnie, oraz urządzenie z związku z tą wystawą w Wilnie „dnia meljoracyjnego", w którym z ramienia Banku wygłoszone zostały 3 odczyty przez kierownika i inżynierów Wydziału meljoracyjnego tej instytucji.

Zwracając szczególną uwagę na sprawę meljoracyj w Polsce i forsując ich finansowanie, władze państwowego Banku rolnego wykazują całkowite zrozumienie palących potrzeb naszego rolnictwa i państwa. Przez wybitny udział w akcji meljoracyjnej państwowy Bank rolny przyczynia się do podniesienia wydajności zmeljorowanych warsztatów rolnych, co stanowi tak kapitalne zagadnienie dla kwestji podniesienia naszego bilansu handlowego.

Poradnik kucharski.

Kasza rozcierana. Kwaterkę kaszki krakowskiej zatrzeć jednem jajem, dobrze wymięszać, wstawić do pieca, by wyschła, poczem gotuje się ją na wodzie dodawszy łyżkę masła. Kaszkę taką podaje się do pieczeni.

Pulpety ze szpiku. Ćwierć funta szpiku, utrzeć w donicy na masę, ubić potem 3 jaja i trzeć aż zgęstnieje, wtedy wsypać ćwierć funta mąki, posolić, wyrobić dobrze, poczem robić małe kulki, kłaść na gotującą się wodę lub rosół, gdy ugotowane dać do wazy.

Pulpety do rosołu. Wziąć $^1/_4$ funta łoju z polędwicy lub nerkówki, usiekać drobno, następnie utrzeć w donicy z 2 żółtkami, wsypać tartej bułki, dać pianę z 2 białek, posolić, dać zielonej pietruszki, robić okrągłe pulpety i gotować na rosole.

Grzybek do rosołu. 4 jaja utrzeć z łyżką masła do białości, dodać pianę z białek, 2 łyżki mąki wymieszać, wlać na gorące masło i piec na wolnem ogniu. Gdy upieczony pokrajać, wstawić do piecyka, by obsechł i podać do rosołu.

Naleśniki do zup. Kwaterkę mleka ubić z 2 żółtkami, wsypać kwaterkę mąki, dodać pianę, posolić, wymieszać i lać na gorącą patelnię dobrze masłem posmarowaną, gdy się naleśnik przypiecze i lekko zrumieni, z jednej strony przewrócić na drugą. Po upieczeniu pokrajać jak łazanki lub też makaron.

Pulpety z resztek pieczeni. Resztki pieczeni zemleć na maszynce, dać na przyrumienioną cebulkę z masłem, dodać trochę namoczonej i wyciśniętej z wody bułki, posolić, popieprzyć i odstawić z ognia, dodać 2 żółtka i pianę z tychże, robić pulpeciki i gotować na rosole.

Pulpety z ryb. Pewną ilość oczyszczonych z ości obranych ryb posiekać, dodać trochę bułki namoczonej w mleku i wyciśniętej, soli, pieprzu, 2 żółtka, robić okrągłe kuleczki, posypać bułeczką i gotować, można też usmarzyć na maśle.

KRONIKA.

Jaka będzie zima? Wcześniej, aniżeli dawnemi laty, występuje w bieżącym okresie wybitnie obniżona temperatura. W związku z tem niemal dla każdego aktualnem staje się w tej chwili pytanie: Jak pogoda ustali się w dalszym ciągu i jakiej mamy oczekiwać zimy? Wprawdzie wszelkie przepowiednie w tym kierunku mogą być mylne, w każdym jednak razie można już teraz stwierdzić, że tak wczesne wystąpienie niskiej temperatury wskazuje na niepomyślny stan pogody, tudzież na zimę wczesną i niełagodną. Według wszelkiego prawdopodobieństwa już w początku listopada, a może nawet w końcu października należy się liczyć z wystąpieniem wyraźnej zimy. Naturalnie nie można przewidzieć, czy pogoda obdarzy nas silnemi mrozami, czy też opadami śnieżnemi. Zgodnie z całym obecnym stanem pogody, musimy być zatem przygotowani na równie wczesną jak ostrą zimę. Nie należy jednak wyciągać stąd wniosku, aby nadchodząca zima gotowała nam jakieś rekordowe mrozy. Wedle bowiem stuletnich zgórą doświadczeń meteorologji można stwierdzić, że tylko po bardzo gorącem lecie następuje bardzo surowa zima. Lato ubiegłe nie było, mimo wszystko, wybitnie upalne, mimo, że panowała ogólna susza, a w niektórych dniach nawet tropikalne gorąco. Inny również fakt zapowiada prędkie pojawienie się zimy, a mianowicie długoletnie doświadczenia wykazały, że gdy z wczesną jesienią daje się zaobserwować szron na ziemi, to w ślad za tem idzie również wczesna zima. Lekki zaś szron pokrywa już w nocy pola w wielu miejscach Europy środkowej.

Napad opryszka na księdza w Mogile. Onegdaj wieczorem zapukał do mieszkania ks. prałata Siedleckiego w Mogile osobnik, który tego samego dnia rano podając się za robotnika wracającego z Francji, otrzymał jałmużnę. Opryszek zapytany przez księdza po co przyszedł ugodził go dużym kamieniem w skroń. Na krzyk księdza, któremu bandyta usiłował bezskutecznie zatkać usta, nadbiegła służąca. Opryszek zadał jej kamieniem dużą ranę w tyle głowy, poczem zbiegł, obawiając się ujęcia. Miejscowa policja wdrożyła poszukiwania za zbiegłym.

Napad na publicznej drodze. Piszą nam ze Święcan: Nie wiadomo, do czego nareszcie dojdzie w tych słynnych swego czasu Święcanach, pow. Jasło, z uczciwych i spokojnych mieszkańców, a dziś słynnych z kradzieży i rozbojów. Tutejsi „kawalerowie“, przeważnie z przysiółka „Nagórze“ rozzuchwalili się do tego stopnia, że obcy boją się już nie w nocy ale w biały dzień przejść czy przejechać przez Święcany. Pomimo uwięzienia kilku złodzieji i jednego bandyty, trafiają się wciąż jeszcze osobniki, z bandycką żyłką, o czem świadczy napad w dniu 5 b. m. pomiędzy godziną 8 a 9 rano na wiozącego furą mąkę Stanisława Osikę z Szerzyn, któremu na publicznym gościńcu zadał dwie rany tępem narzędziem w głowę tutejszy pastuch Ignacy Gajecki. Gdy broczący krwią Osika począł uciekać, napastnik puścił się za nim w pogoń, i nie wiadomo, do czego byłoby doszło, gdyby nie byli pospieszyli z pomocą rannemu orzący w pobliżu miejsca wypadku chłopi, odpędzając napastnika. Tak postępuje dzisiejsza młodzież w Święcanach, przynosząc tylko hańbę i wstyd gminie, która przez kilku zdziczałych osobników musi wstydzić się za nich. Jeżeli władze nie użyją do poskromienia pyszałkowatych zuchwalców energicznych i surowych środków, dojdzie wkrótce do tego, że nikt w „Nagórzu“ nie będzie pewny ni życia ni mienia. Byłoby pożądanem wprowadzić choć wyjątkowo karę chłosty na tutejszych „bohaterów“ i wlepić im za każdy niecny postępek po 50 odlewanych, skoro kryminału nie bardzo się lękają.

Obłęd z radości. Z Sosnowca donoszą: Niesłychanie niesamowity wypadek miał onegdaj miejsce w Dąbrowie. Oto 21-letnia Marja Masłówna, zamieszkała przy ul. Narutowicza 5, mająca na utrzymaniu całą rodzinę, a znajdująca się od dłuższego czasu bez posady — otrzymała listowną wiadomość od jednej z firm w Ząbkowicach, że reflektuje na jej przyjęcie. Masłówna poczęła zbierać się do drogi, gdy w tem oczy jej stanęły w słup, a z gardła wydobył się nieludzki ryk. Pochwyciła się za głowę i poczęła biegać po mieszkaniu. Oczy jej płonęły jak dwie pochodnie.

— Matko! — krzyknęła — rozbieraj się i tańcz!

Staruszka z błędnym wzrokiem zdarła z siebie szaty i poczęła tańczyć jakiegoś niesamowitego oberka.

— Stefka! — wołała dalej obłąkana do młodszej siostry — chodź tu do mnie! Wyciągnij język! prędko!

Posłuszna nakazowi dziewczyna pobiegła do siostry z wyciągniętym językiem, a wtedy ta poczęła jej gryźć język do krwi. Okropne krzyki obłąkanych kobiet usłyszeli sąsiedzi, którzy natychmiast zawiadomili policję. Całą rodzinę przewieziono do komisarjatu, gdzie natychmiast poddano ją badaniu komisji lekarskiej. Okazało się, że Marja Masłówna zwarjowała z radości, a siła suggestji, jaką wywierała na otoczenie, była tak potężna, że i rodzina jej uległa czasowemu obłędowi. Gdy chorych rozdzielono, po pewnym czasie matka i młodsza siostra obłąkanej powróciły do zmysłów. Obłęd powracał jednak natychmiast, gdy znowu znalazły się w pobliżu Marji. Sprawa ta wywołała olbrzymią sensację w całem Zagłębiu.

Walka na siekiery. Między właścicielem domu przy ulicy Bankowej w Łodzi, Michałem Wymijaszem a lokatorem jego, Antonim Wojtczakiem wynikały ciągłe nieporozumienia, gdyż Wojtczak żądał odnowienia swego mieszkania. Sprowadził nawet komisję magistracką, która orzekła, że mieszkanie istotnie wymaga naprawy. Na uskutecznienie tego wyznaczono Wymijaszowi termin 14-dniowy z tem, że gdyby gospodarz nie zastosował się do decyzji komisji budowlanej, to naprawa zostanie przeprowadzona przez magistrat na koszt właściciela domu. Wymijasz, pałając chęcią zemsty, skomunikował się z zamieszkałymi również w jego domu Józefem Andrzejczakiem, żoną jego Marjanną oraz jej ojcem Walentym Kazimierczakiem i wraz ze swym synem Stefanem zaprosił ich do podrzędnej restauracji, gdzie uraczył całą rodzinę wódką i w ten sposób skłonił Andrzejczaków do udzielenia mu pomocy w wywarciu zemsty na Wojtczaku. Dobrane towarzystwo, uzbrojone w siekiery, wtargnęło do mieszkania Wojtczaka i obrzucając go stekiem wyzwisk i obelg, rzuciło się z wniesionemi do góry siekierami na niego i jego rodzinę. Wojtczak, odniósłszy ranę w głowę, stojąc w obronie własnej rodziny, chwycił również za siekierę i zaczął się bronić. Rozpoczęła się straszliwa rzeź, w rezultacie której po pięciominutowej walce Wymijasz, syn jego Stefan oraz Marjanna Andrzejczakowa z roztrzaskanemi głowami padli na ziemię, opryskując krwią meble i ściany mieszkania. Przerażeni krwawą rzezią lokatorzy domu wezwali pogotowie oraz policję. U rannych stwierdzono pęknięcie czaszki. Przewieziono ich do szpitala w stanie beznadziejnym. Antoni Wojtczak został aresztowany i przekazany do dyspozycji sędziego śledczego.

Pomysłowa maskarada oszusta. Na niezwykły pomysł ukrycia się przed poszukiwaniami policji wpadł kupiec mączny w Warszawie, niejaki Icek Rosenfeld. Poszukiwano go w związku z pewną oszukańczą trans-

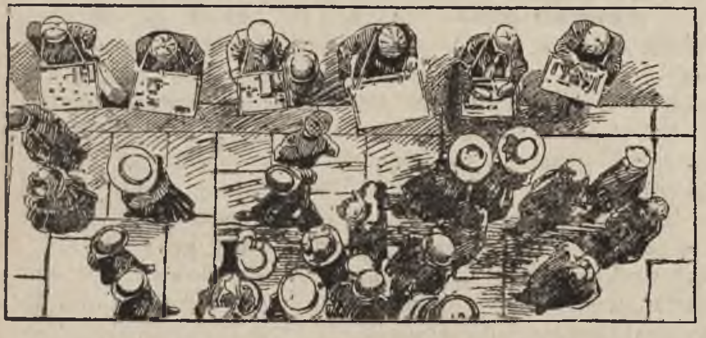
akcją. Mianowicie Rosenfeld kupił od innego kupca, Moszka Luftrajbera, partje mąki za 2.600 zł., na którą to sumę wystawił cztery czeki na Bank kredytowy. Czeki te okazały się bezwartościowe, gdyż konto nabywcy świeciło pustkami. Wobec tego na żądanie Luftrajbera policja udała się do mieszkania Rosenfelda, lecz wizyta nie doprowadziła do niczego. Potem wywiadowcy kilkakrotnie odwiedzali lokal wystawcy czeków bez pokrycia, a wizyty odbywały się przeważnie nocami. Lecz zawsze znajdowano w sypialni dwie kobiety, a w kuchni trzecią, ubraną w czepek i koronkową koszulę.

— Kto jest ta dama w czepku? — zagadnął przodownik.

— A kto ma być? To moja kucharka — odpowiedziała pani domu.

Przodownik jednak zauważył, że kucharka ma twarz świeżo ogoloną. Wyciągnięto ją wobec tego z łóżka, okazało się bowiem, iż jest to poszukiwany Icek Rosenfeld. Pomysłowy ten operator czekowy narobił malwersacyj na zgórą 50 tysięcy złotych.

Widok z góry. Jak wygląda ten świat, który nas otacza, a razem z nim i my, o tem wie niewielu ludzi, bo niewielu wznosiło się w powietrze balonem lub aeroplanem. Kto wejdzie na wysoką wieżę kościelną, widzi wprawdzie ludzi z góry, ale nie całkiem, tylko trochę z ukosa, gdyż całkiem pod sobą ma wieżę. Całkowicie z góry ludzie bardzo zabawnie się przedstawiają.



Podany tu obrazek zrobiony podług fotografji z aeroplanu przedstawia przechodniów i przekupniów na ulicach Warszawy. Widać na nim ludzi a raczej ich kapelusze, chodzących po ulicy.

Żydzi w workach. Powracający z jarmarku z Frampola wieśniacy zauważyli wiszące na drzewie wypełnionione worki. Gdy je zdjęli z drzewa i rozwiązali, znaleźli w jednym Abrama Kwintermanna, handlarza z Biłgoraja, a w drugim jego syna Joska. Wyswobodzeni z worków oświadczyli, że przed kilku godzinami napadło na nich kilku bandytów, którzy zrabowali im pieniądze i towary, poczem zawiązali ich w worki i rzucili do wody. Na krzyki jednak i błagania wyciągnęli worki z wody i zawiesili na drzewie. Niezwykła ta historja wydaje się jednak podejrzaną. Są przypuszczenia, że capad jest zmyślony, aby w ten sposób wpoić przekonanie wierzycieli mających z Kwintermanem pieniężne rozrachunki, iż po takiem ograbieniu nie może on regulować swoich długów.

Katastrofa budowlana w Pradze. W ubiegły wtorek po południu wydarzyła się w Pradze w Czechach niebywała katastrofa budowlana, która pociągnęła za sobą liczne ofiary w ludziach. Mianowicie w samem centrum miasta zawalił się wielki gmach żelazo-betonowy, należący do firmy budowlanej Jakescha. Gmach ten, obejmujący 7 pięter nad powierzchnią ziemi i 2 piętra pod ziemią miał 30 metrów wysokości. Budowa jego miała być ukończona jeszcze w tym tygodniu. Tymczasem z nieznanych narazie przyczyn gmach runął aż do parteru, zasypując olbrzymiemi masami gruzów połowę jezdni. W chwili katastrofy na budowie znajdowało się 87 robotników zajętych pracą wewnątrz gmachu. Pozatem na ulicy znajdowało się wielu przechodniów i krążyły liczne pojazdy. Przejeżdżający właśnie ulicą tramwaj został przewrócony i 12 pasażerów odniosło ciężkie rany. Sieć elektryczna została zerwana, raniąc śmiertelnie prądem woźnicę i dwa konie przejeżdżającego właśnie ulicą wozu. Z pod gruzów zawalonego budynku wydobyto tego samego dnia około 50 rannych i 16 zabitych, jednak ogólna liczba ofiar ma przekraczać cyfrę 100 osób. Według listy Kasy chorych stwierdzono, że brakuje 62 robotników, którzy byli zajęci na budowie, a których los jest nieznany. Dwaj architekci, kierujący budową, którzy w chwili katastrofy znajdowali się w gmachu, zginęli. Pod gruzami znaleziono również pewną kobietę z dzieckiem w wózku, która w chwili katastrofy przejeżdżała jezdnią na tę stronę, gdzie wydarzyła się katastrofa. Dalej na samym środku ulicy znaleziono pod gruzami zwłoki trojga dzieci, zupełnie zmiażdżonych. Jednemu z robotników, którego wydobyto z pod gruzów, musiano amputować nogę na ulicy. Wszyscy ranni są przeważnie w stanie bardzo ciężkim. W większości wypadków ulegli oni wstrząsowi mózgu i połamaniu kości. Przyczyny katastrofy nie zostały jeszcze narazie ustalone. Wedle opinji urzędu budowlanego, szukać ich należy głównie w zbyt pospiesznym kończeniu robót, przy posługiwaniu się nieodpowiednim materjałem.

Masowe zatrucie bakcylami tyfusu. Donoszą z Drezna w Saksonji o niebywałej aferze masowego zatrucia, jaka wydarzyła się w ciągu ostatnich pięciu dni. Jak stwierdzono, ponad 37 osób zachorowało wśród objawów tyfusu. Przeprowadzone śledztwo wykazało, że wszystkie te osoby spożyły uprzednio obiad w jednej ze znanych drezdeńskich restauracyj „Piwnica pod ratuszem“. Dalsze śledztwo wykazało, że bakcyle tyfusu rozsadzał zajęty tam pomocnik kucharza, u którego stwierdzono bakcyle „B“. Mimo to kucharz był zupełnie zdrów i nie miał świadomości, że jest on rozsadnikiem choroby. Z pośród zarażonych tyfusem jedna kobieta zmarła. W Dreźnie panuje wielkie oburzenie wśród publiczności, która domaga się natychmiastowego zamknięcia wyżej wymienionej restauracji.

Ewa w sali sądowej. W Berlinie odpowiadała onegdaj przed sądem karnym pewna kobieta, obwiniona o oszustwo. Widząc, że jej sprawa źle stoi, zaczęła nagle udawać warjatkę i kompletnie się rozebrała. Gdy już była w kostjumie, niewiele różniącym się od kostjumu Ewy, kazał przewodniczący opróżnić salę. Po podjęciu rozprawy zbiegło się mnóstwo ludzi, aby się ucieszyć gratisowem przedstawieniem. Gdy dozorca chciał kilka osób wypchnąć za drzwi, człowiek jakiś, widocznie pijany, pochwycił go pod gardło, wołając, że jeżeli panu sędziemu wolno patrzeć na takie przedstawienie, to on ma prawo także je zobaczyć. Powstała walka na pięści, w trakcie której strażnicy pobili kilka osób z publiczności. Symulantka otrzymała za oszustwo rok więzienia.

Co 10 minut nowy płaszcz. Sensacją francuskiej miejscowości nadmorskiej Deauville jest w tej chwili pewna bogata dama przybyła z Bałkanu, która postanowiła co 10 minut wdziewać na siebie nowy płaszcz. Oryginalna ta przybyszka z kraju bałkańskiego spaceruje w towarzystwie swoich znajomych wzdłuż plaży, nagle patrzy na zegarek, a zobaczywszy, iż upłynęło już 10 minut, zwraca się do swych towarzyszy ze słowami:

— Wybaczcie muszę zmienić płaszcz!

W tej chwili postępująca krok w krok za swoją panią służąca podaje jej inny płaszcz, odbierając po-

przedni. Mimo, iż plaża w Deaville przyzwyczajona jest do różnego rodzaju sensacyj, to jednak ekstrawagancje niewiasty bałkańskiej budzą ogólne zainteresowanie. Widocznie, głupia, baba niema nic lepszego do roboty.

Walka z niedźwiedziem. W Madrycie wydarzył się onegdaj niebezpieczny wypadek, który jednak nie pociągnął za sobą żadnych tragicznych skutków. Onegdaj rano jeden z strażników ogrodu zoologicznego pracował w klatce białego niedźwiedzia. Klatka ta posiada dwa przedziały. Kiedy czyści się jeden przedział, niedźwiedź znajduje się w drugim. Oba przedziały łączą drzwi. Strażnik, pracujący nad oczyszczeniem klatki, zapomniał zamknąć owe drzwi i niedźwiedź rzucił się nagle na strażnika, przewrócił go i zadał mu szereg strasznych ran.



Usłyszawszy jego krzyk, nadbiegli inni strażnicy i strzałami rewolwerowymi odpędzili niedźwiedzia do drugiego przedziału. Ale w pośpiechu i zamieszaniu zapomnieli nie tylko o tem, aby zamknąć drzwi wewnętrzne, ale również drzwi zewnętrzne. W ten sposób niedźwiedź dostał się na zewnątrz, siejąc postrach w ogrodzie. Rozpoczęło się formalne polowanie na dzikiego zwierza. Wzięli w nim udział wszyscy strażnicy. Wkońcu niedźwiedź, otoczony z wszystkich stron, padł od strzałów rewolwerowych. Otrzymał on 30 kul. Stan strażnika, który padł pod jego pazurami, jest bardzo groźny. Ten sam niedźwiedź zabił w ubiegłym roku jednego z strażników w chwili czyszczenia jego klatki.

Zjadacz trucizn. W londyńskim szpitalu zmarł w tych dniach człowiek, który posiadał jeden z najbardziej niezwykłych zawodów — był zawodowym zjadaczem trucizny. Z pochodzenia Niemiec, nazywał się Albert Randler i pochodził z Wrocławia. Był dzieckiem cyrku. Od wczesnej młodości zaprawiali go rodzice do karkołomnych produkcyj cyrkowych. Pewnego razu nastąpił wypadek, który zadecydował o przyszłym zawodzie Randlera. Oto pewnego razu ojciec Alberta pozostawił na stole lekarstwo, którego większa ilość mogła spowodować natychmiastową śmierć. 12-letni chłopak. z natury bardzo łakomy, skosztował owe lekarstwo, a ponieważ było słodkie, wychylił flaszkę do dna. W tym momencie zjawił się jego ojciec. Kiedy ujrzał to, co się stało, zdrętwiał. Przekonany był, że syn za parę chwil skona w straszliwych kurczach. Zaalarmowano natychmiast lekarza. Jakież było zdziwienie doktora i rodziców, gdy się okazało, iż chłopakowi gwałtowna owa trucizna wcale nie zaszkodziła. Organizm jego zupełnie nie reagował na wszelkie trucizny. Od tego czasu rozpoczął Albert swoją karjerę. Produkował się jako zawodowy zjadacz trucizny. Zmarł w wieku 72 lat. Myślicie, iż wkońcu sprawdziło się na nim przysłowie, iż kto mieczem wojuje, od miecza ginie? Bynajmniej. Randler zmarł wskutek zapalenia płuc.

Wczesna zima w Ameryce. Dzienniki amerykańskie donoszą o przedwczesnej zimie, która nawiedziła północną część Stanów Zjednoczonych, poczynając od gór Rocky na wschód od morza. Już z końcem września spadł śnieg w niektórych miejscowościach w okolicy Wielkich Jezior w górach Berkshires i Allegheny. Również w Chicago padał przez kilka minut śnieg. Był to najwcześniejszy śnieg zanotowany w historji Stanów Zjednoczonych. W Nowym Jorku szron pokrył wszystkie pola okoliczne. W Ironwood Mich., spadł tak duży śnieg, że połamał gałęzie.

Ile warta funt żony? Niejaka pani Rectenwald z Chicago wniosła skargę rozwodową przeciw swemu mężowi, którego trybunał sędziowski uznał za winnego. Chodziło teraz o ustalenie wysokości renty, jaką mąż ma wypłacać żonie, z którą żył lat 14 i miał troje dzieci. Wreszcie jeden z adwokatów wpadł na taki pomysł:

— Zrobimy tak jak w „Kupcu weneckim“ — zaproponował — za każdy funt wagi mej klientki mąż zapłaci jej dolara miesięcznie.

Adwokat strony przeciwnej zgodził się na ten projekt, wobec czego panią Rectenwald zważono w sali sądowej w obecności trybunału. Ponieważ ważyła 108 funtów, więc mąż ma jej wypłacić rentę miesięczną w wysokości 108 dolarów. Rozwódka żałuje zapewne mocno, że ulegając nakazom mody, nazbyt dbała o smukłą linję i że dopuściła do niższej wagi. Gdyby teraz więcej ważyła, otrzymywałaby większą pensję. Za to mąż błogosławi współczesną modę, bo źleby na tem wyszedł, gdyby żona ważyła o kilkadziesiąt funtów więcej...

Weteran pustelnikiem. W dzikich górach Cushetuk (stan N. Jork) znaleziono namiot, a w nim na kupie gałęzi wynędzniałego człowieka. Stwierdzono, że jest to Polak, Stanisław Anuszkiewicz, weteran wojny światowej. W bojach w Argonach uległ on ciężkiemu zatruciu gazami i to zdaje się było przyczyną wystąpienia u niego melancholji. Porzuciwszy żonę, uciekł w góry i tam pędził życie dzikiego człowieka, żywiąc się jedynie korą drzew i jagodami. Gdy go znaleziono, był okryty nędznemi łachmanami i znajdował się w stanie ostatecznego wyczerpania. Dziwaka przewieziono do miasta i oddano do szpitala.

Fatalna wyprawa myśliwska. Przed ośmiu dniami udali się samochodem z Kairu na wyprawę myśliwską w głąb pustyni czterej Anglicy. Gdy nie wracali, rozpoczęto energiczne poszukiwania przy pomocy wojskowego samolotu, który obleciał nisko całą przestrzeń pustyni, w której zaginieni mogli się znajdować. Wkońcu udało się samolotowi znaleźć wszystkich czterech w pobliżu oazy Fatum. Znajdowali się oni w strasznym stanie. Wszyscy przejęci byli lękiem, że zginą w pustyni i stracili wskutek tego rozum. Znaleziono ich w pustyni zupełnie nagich, mówiących coś do siebie bez związku. Trapieni byli manją prześladowczą. Każdy z nich lękał się, aby go drugi nie zabił i nie zjadł. Samochodu, którym udali się na wyprawę, dotychczas nie znaleziono. Nieszczęśliwych uczestników wyprawy odwieziono do Kairu, gdzie próbowano od nich wydobyć jakieś zeznania. Ale żaden z nich nie zdołał odzyskać równowagi umysłu. Lekarze sądzą, że wyleczą się oni wkrótce ze skutków silnego wstrząsu nerwowego.

Umierająca stolica. Dzienniki angielskie donoszą z Pekinu, że dawna ta stolica Chin wyludnia się powoli, opuszczana przez mieszkańców i chyli się szybko do upadku. Wybór Nankinu, jako nowej stolicy Chin, wpływa destrukcyjnie na Pekin, który pustoszeje z dnia na dzień i podupada pod względem handlowym, tembardziej, że nie był ogniskiem handlu, ale całą swoją żywotność zawdzięczał polityce. — Wielu wybitnych i bogatych Chińczyków opuściło Pekin, po którym krążą już zgraje żebraków i nędzarzy.

RZECZY CIEKAWE.

Śluby i wesela w dawnej Polsce.

Jak świadczy Bartosz Paprocki w „Herbach rycerstwa polskiego“, śluby za dawnych czasów dawano w Polsce po domach; dopiero za biskupstwa Fulka, biskupa krakowskiego (1186—1207), przyjechał kardynał-legat Piotr Kapuanus, „który zakazał, aby ślubów nie dawano w domach, tylko w kościołach“.

Wedle starożytnego obyczaju śluby i wesela odbywały się aż do połowy XVIII wieku tylko w zapusty; zdarzały się wyjątki, ogół jednak trwał przy tradycji i małżeństwo w innym czasie zawartym nie rokowano szczęśliwej przyszłości.

Uroczystości te, rzecz prosta, inaczej odbywały się na dworach królewskich, a inaczej u ludu, inaczej u magnatów i u możniejszej szlachty, a inaczej wreszcie u szaraczków i mieszczan. Różnica polegała jednak głównie na mniej lub więcej bogatem przyjęciu gości weselnych, obrzędy zaś, odprawiane przy podobnych okazjach, były prawie jednakowe we wszystkich warstwach narodu.

Z jakim zbytkiem i przepychem wyprawiano wesela nie tylko u szlachty, lecz i u mieszczan, świadczą prawa, ukrócające owe zbytki. Kazimierz Wielki np. stanowi, że „ktokolwiekby wesele odprawiał, nie powinno być na niem więcej niż 30 mis, a do każdej trzy osoby“. Nie wliczało się jednak w tę liczbę panien, księży i osób obcych, nie posiadających prawa miejskiego w Krakowie. Na weselu nie mogło być więcej jak pięć dań. Kuglarzy, którzy śpiewali lub gadali wierszem, t. zw. „rimarii“, dozwolono gromadzić ośmiu, kuglarzy zaś, którzy okazywali figle nieprzystojne, ustawa Kazimierzowska nie dopuszcza na te uroczystości zupełnie.

Widocznie jednak owe prawa nie skutkowały, bo w r. 1378 Rada miejska i starszyzna miasta Krakowa uchwala i spisuje artykuły ku ograniczeniu marnotrawstwa zmierzające, „które należy dla dobra i pożytku mieszkańców zachować wcale i nieodmiennie“.

Nie dozwala się według tych artykułów „zapraszać na wesele więcej niż osiem osób ze strony nowożeńca i osiem ze strony oblubienicy; z tej liczby ośmiu osób wyłączają się małżonki i dzieci; prócz tych może być jeszcze osiem osób, które nie są współmieszczanami. Nie liczą się także domownicy. Grajków grać może tylko czterech, nie więcej, na zabawie weselnej, każdemu zaś z nich po sześć jeno groszy w zapłacie dać trzeba. Zabrania się ofiarować, tudzież przyjmować dary weselne“.

Podobną ustawę wydał Magistrat lwowski w roku 1393, a w Poznaniu ogłoszono w r. 1621 „Laudum“ ku poskromieniu zbytków w częstowaniu i strojach i odinatia ze strony wesel, kolacji i t. d. I w Warszawie zajmowali się ojcowie miasta wielokrotnie unormowaniem spraw tego rodzaju. Wogóle prawa i uchwały takie były w grodach polskich na porządku dziennym aż do końca XVIII wieku.

„Błogosławieństwo Boże“.

Liczne potomstwo nazywają niektórzy błogosławieństwem Bożem. Niektóre małżeństwa mogą się poszczycić specjalnem takiem błogosławieństwem. I tak:

W hiszpańskiem mieście Lucas zamieszkuje naprzykład senor Gomez Rosillo, którego żona, licząca zaledwie 42 lata, obdarzyła go 25 dziećmi, przyczem 4 razy powiła bliźnięta, a raz trojaczki. Wszystkie dzieci żyją i cieszą się jak najlepszem zdrowiem i nie jest wykluczone, że bocian naznosi im jeszcze trochę braciszków i siostrzyczek.

Jednakże rekord ten został sromotnie obalony przez jednego, obecnie 70-letniego rosyjskiego chłopa, posiadającego ni mniej, ni więcej, tylko 83 (osiemdziesiąt trzy) dziatek. Najbardziej nieprawdopodobnym, a jednak prawdziwym szczegółem w tej niesłychanej wiadomości jest to, że pierwsza żona powiła mu z ogólnej liczby 69 dzieci 16 razy bliźnięta, 7 razy trojaczki, 4 zaś razy czworaczki — w stadle tem nie urodziło się ani razu pojedyńcze dziecko. W drugiem małżeństwie żona chłopa tego miała 18 potomstwa w ośmiu jeden po drugim następujących po sobie porodach.

Drugi podobny wypadek przytrafił się również w rodzinie pewnego rosyjskiego małżeństwa — pochwalić się ono jednak mogło tylko 57 dziećmi; a gdy po śmierci żony małżonek ożenił się po raz wtóry — druga żona przyniosła mu już tylko 15 potomstwa.

W „dziedzinie“ tej zasłynęła także pewna angielska włościanka, która wydała na świat 39 dziatek, za każdym razem w pojedyńczych egzemplarzach — oraz pewna Włoszka, żyjąca w ubiegłem stuleciu — matka 49 synów i 3 córek.

Ludożerstwo i dzieciobójstwo.

Wyspy Karolińskie, Gilbert, Marshall i archipelag Bismarcka, położone na oceanie Spokojnym, były do 1911 roku kolonjami niemieckiemi. Japończycy, którzy udzielili sprzymierzeńcom wydatnej pomocy na oceanie w czasie wojny, zgłosili swe pretensje do tych wysp przy układaniu traktatu pokojowego i odtąd powiewa na nich flaga cesarstwa Wschodniego Słońca. Nie są to wyspy wielkie ani urodzajne, wartość ich stanowi raczej to, że są oparciem dla statków na oceanie Spokojnym.

Najurodzajniejszy i najlepszy klimat mają wyspy Marshall. Pokrywa je cudna wprost roślinność; orzechy kokosowe, drzewo chlebne i inne dosięgają tam olbrzymiej wprost wysokości. Klimat i przyroda nie mają jednak kojącego wpływu na miejscową ludność jakby się tego należało spodziewać. Przeciwnie krajowcy zachowali dotąd najokrutniejsze i najdziwniejsze obyczaje, a ludożerstwo utrzymało się tam do ostatnich niemal czasów. Plemię wojownicze toczyło wiele walk, w których kobiety stawały obok swoich mężów. Po bitwie obowiązkiem zwycięzców było zjadać ciała zabitych wrogów, przez co mieli nabrać ducha wojowniczego i inteligencji przeciwnika. Często nawet żyjący przybiera imię zabitego i przez siebie zjedzonego.

Do niedawna też istniał na wyspach Marshall inny potworny zwyczaj. Ponieważ kraj ten jest niewielki i obawia się przeludnienia, ogłoszono prawo, że żadna matka nie może mieć więcej nad troje dzieci. Ponad tę liczbę musiała je sama zabijać i własnoręcznie grzebać.

Organizacja socjalna oparta jest na nierówności posuniętej do ostatecznych granic. Król jest bezwzględnym panem życia i śmierci swych poddanych, a że z prawa tego korzysta, dowodzi następujący fakt:

Kiedy alfabet europejski dotarł do wysp Marshall zaczęli się go uczyć król, królowa i członkowie dworu.

Kilku z tych ostatnich, obdarzonych widocznie większemi zdolnościami, nauczyło się czytać szybko, podczas gdy król zaledwie sylabizował. Król oburzony, kazał ich zgładzić ze świata, bo nie mają prawa być inteligentniejsi od swego władcy.

Silniejszą od króla jest jedynie władza duchów. Ich rady zasięga się w najdrobniejszych sprawach. Nie wolno nawet tatuować się, jeżeli duchy nie dadzą widomego zezwolenia. Coprawda zezwolenie to nie zbyt dobitne. Oznaką jego jest np. szum fali morskiej lub coś podobnego.

Jebbrick, król plemienia, przy całej swej dzikości, jest zapalonym kolekcjonerem. Zbiera on szkło i porcelanę. Przed wojną, kiedy wyspy Marshall były kolonją niemiecką, utrzymywał stosunki z kupcami z Bremy i Hamburga. Sprzedawał im olbrzymie ładunki orzechów kokosowych, za co kazał sobie przysyłać całe serwisy szkła, kryształy, zwierzęta porcelanowe itd. Tym sposobem posiada jeden z najcenniejszych zbiorów na świecie, do którego dostęp jest jednak dość utrudniony, najpierw dlatego, że król niechętnie pokazuje swoje skarby, a także i z tego powodu, że droga do nich jest trochę daleka.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Henryk Biłka-Głębicki** w S.: Owszem, prosimy. — **Piotr Wenc** w Ś.: Otrzymaliśmy, dobre, jak zwykle. — **Józef Frasik** w K.: Nadesłane wierszyki zupełnie dobre; pójdą w miarę miejsca. — **Jan Kawalec** w Z.: „Podróż po dalekich krajach", która Pana tak interesuje, będzie ukazywać się w każdym numerze „Roli". Zwiedzimy w niej wszystkie części świata, a każdy nasz artykulik będzie ilustrowany. Przy niektórych opisach będzie jeden obrazek, przy innych dwa i trzy. Obecnie drukowane powieści przeciągną się do końca roku. Co będziemy drukowali w roku przyszłym, trudno zgóry oznaczyć, mamy bowiem przygotowanych kilka senzacyjnych powieści, mamy obiecane nadesłanie kilku innych. Zebrawszy to wszystko, osądzimy dopiero, co będzie najlepsze dla „Roli". — **Stanisław Wojtasik** w T.: Artykuły zupełnie dobre. Dziękujemy i prosimy o dalsze. Wiadomości kronikarskie również pożądane. — **Z. S.** w P.: Rzecz bardzo ładnie napisana, pełna głębokich myśli, ale zbyt osobista. — **Stanisław Kwiatkowski** w Olszownicy: Od początku roku powinien Pan otrzymać nie 29 numerów ale 42, gdyż Panu wysyłki nie wstrzymaliśmy. Jeżeli Pan jest pewny, że w gminie nie zabierają, to niech się Pan upomni i to energicznie w urzędzie pocztowym Iwaniska, bo do tego urzędu pocztowego wszystkie 42 numery „Roli" doszły z całą pewnością. Jeszcze raz Panu donosimy, że wszystkie numera miał Pan posyłane i urząd pocztowy Iwaniska dla Pana odbierał. Przez urząd poczt.-gazetowy w Krakowie zapytamy się co urząd pocztowy Iwaniska robił z numerami przesyłanymi dla Pana, a później zrobimy dalsze kroki u odnośnych władz, aby takie syberyjskie stosunki pocztowe miejsca nie miały i nastało poszanowanie cudzej własności. Przed wysyłką „Roli" przeprowadza się u nas kontrolę, aby każdy prenumerator otrzymał co mu się należy. Prosimy napisać, których numerów Pan nie otrzymał. — **Leon Czopek** w K.: „Podróż po dalekich krajach" jest to długie opowiadanie z bardzo pięknemi ilustracjami i jako całość będzie to rzecz cenna. Wszystkie numera jeszcze posiadamy i może Pan nabyć. — **Jan Wojtanik** w Z.: Za przysługę dla „Roli" serdecznie dziękujemy. Numera z czekami wysłaliśmy i prosimy nadal o pamięć. — **Czesław Piątkowski** w L.: Numer okazowy wysłany — dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy.

Kalendarze są już do nabycia w Administr. „Roli".

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 12 października b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·95 do 1·60 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·56 zł.
Woły . .	od 1·00 do 1·75 zł.	Cielęta .	od 1·61 do 2·41 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·35 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·10 do 2·55 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·40 do 3.18

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Stanisł. Porębski z K.).

■ ☆ ☆ ☆ ■ Dynie inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Alkaloid.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Państwo w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Potrzebny do obrazów świetlnych.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Oparzyć.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Myśliwy
■ ☆ ☆ ☆ ■ Miasto w Europie (wspak).
■ ☆ ☆ ☆ ■ Miasto klęski króla polsk.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Grobla (wspak).
■ ☆ ☆ ☆ ■ Siekiera inaczej (wspak).
■ ☆ ☆ ☆ ■ Gnębienie
■ ☆ ☆ ☆ ■ Rzeka w Azji (wspak)

Litery początkowe, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko powieściopisarza polskiego, końcowe zaś jego dzieło.

2. Szarady.

(Ułożył Henryk Biłka-Głębicki).

I.

Pierwsze drugie znajdziesz w „Roli",
Drugie trzecie owoc rodzi,
Całego znajdziesz powoli,
Bo on stale w lesie chodzi.

II.

Wśród rzędu kamienic długich,
Ciągnie się Pszczelarska cała,
Obok szereg pierwszych drugich,
Wśród nich Andzia róże rwała.
Jej wabiące drugie trzecie
Amatorów pociągały,
Nie wiem czyli odgadniecie,
Jaki dźwięk te zgłoski miały?

III.

Raz dwa się znajdzie szarada,
Tylko zgadnąć tak wypada:
Druga z pierwszą — dużo znaczy,
Piąta z drugą — nic tłumaczy,
Pierwsze piąte — masz furmanie,
Na dwa cztery gra ustanie,
Na umarłych — drugie trzecie,
Plemię całe — wnet znajdziecie!

3. Logogryf.

(Ułożył Franciszek Pukas z Sz.).

■ ☆ ■ ☆ ☆ Rodzaj pocisku.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Inaczej z odległości.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Zjawiska eteryczne.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Część miasta.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Port w Europie.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Rodzaj stryczka.

Litery wstawione zamiast kwadracików czytane z góry na dół dadzą nazwisko znanego jowialnego kronikarza.

4. Bilety wizytowe.

(Ułożył Franciszek Pukas z Sz.).

OTTO LAZIART.
R. E. ZUKAS.
KUBA PRISCY.
A. M. RUDEK WORSA Z Ł.
LUDWIK S. KĄCZONY.
NIMMA Y. Z KUT.
EDEK TAPOLYNCYZ.
PAKOSZ I UJĘDO.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 27 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 41 „Roli": 1. Logogryf: Jan Trzeci Sobieski, Zygmunt Trzeci Waza. 2. Szarady: I. Katastrofa. II. Powitanie. 3. Zagadki: I. Lustro, II. Zaraza, III. Potop, IV. Papier. 4. Układanki: Arystokrata, malina, robota, „Rola", jagody.

Dobrego rozwiązania wszystkich zagadek nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Rzadka okazja.

— Mój wspólnik jest bardzo zawistny. Co tylko zobaczy, zaraz musi mieć.

— Proszę cię, mój drogi; zapoznaj go z moją córką...



W szkole.

— Czy bociany są pożyteczne, czy szkodliwe?

— Bociany są szkodliwe — rzecze uczeń II-giej klasy — bo przynoszą małe dzieci, a potem krzyczą i mama ma z niemi dużo kłopotu, dlatego bociany trzeba tępić...



Dwuznacznie.

Okulista rzecze do pacjenta ślepego przed operacją:

— No, masz pan do mnie zaufanie?

— Tak, ślepe, panie doktorze...

Róża i fiołek.

Nauczycielka mówiąc dzieciom o pięknie kwiatów, chciałaby uzmysłowić im różnicę pomiędzy pięknem róży i fiołka.

— Wyobraźcie sobie wysoką, piękną kobietę, kroczącą z dumnie podniesioną głową. Jest bogato ubrana, na nikogo nie spojrzy, nikomu się nie ukłoni. A za nią stworzenie pokorne, niepozorne, skromnie spuszcza główkę. Nikt na nie nie patrzy. To...

Cała klasa woła: — To jej mąż!!!!



Nauka gwizdania.

— Kumie, gwizdnijta!

— Kiej nie umiem.

— Ale, kiej powiadam, gwizdnijta!

— Ej, nie potrafię.

— Córka wasza uciekła z pisarzem...

— Fiu! Fiuuuuu...

— A, widzita, że umiecie gwizdać!...

Giełda płodów rolniczych

z dnia 12 października b. r.

Pszenica .	45·00—46·00	Słoma długa	12·00—13·00
Żyto .	34·50—35·50	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies . .	34·50—35·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	35·00—36·00		
Fasola biała	00·00 – 00·00	Mąka żytnia	50·50—51·00
Groch zwyk.	60·00 65·00	Mąka pszen.	75·00—76·00
Siano słodk.	28·00 – 30·00	Otręby pszen.	27·00—28·50
Koniczpastew.	34·00—35·00	Mąka czerw.	31·00—32·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

